



Kolekcja
Ezilda Kornasia

JASNE KSIĄŻKI



WSPOMINAMY

U T W O R Y

STANISŁAWA MIŁASZEWSKIEGO

GEST WEWNĘTRZNY – wyd. II^o powiększone. FARYS – komedia romantyczna wystawiona w Teatrze Narodowym, wyd. książkowe. DON KISZOT – wg Cervantesa, sztuka wierszem i prozą, wyst. w T. Polskim, wyd. książkowe. BAL W OBŁOKACH – wyst. w T. Narodowym. PIĘKNE POLKI – wyst. w T. Narodowym. DRUGIE IMIĘ MIŁOŚCI – wyst. w T. Nowym i Narod. BUNT ABSALONA – dramat wyst. w T. Narodowym, wydanie książkowe.

P R Z E K Ł A D Y :

EPOPEJA RYCERSKA „Karolnerna” tom I – przekład z W. v. Heidenstama, wyczerpane. DON JUAN – przekład wolny wierszem z J. Zorrilli, wyst. w T. Narodowym, wyd. książkowe. CAR IWAN GROŻNY – przekł. wierszem z A. Tolstoj – wyst. w T. Małym. LUDWIK XI – przekł. z C. Delavigne wierszem, wyst. w T. Narodowym. MARIA STUART – przekł. wierszem z Schillera wyst. w T. Narodowym. W PIEKLE – przekł. z A. Rimbaud, wyczerp. MILIONY – powieść przekł. z Arcybaszewa. EPOPEJA RYCERSKA tom II – w rękopisie. WSPÓŁCZESNI FRANCUSCY POECI KATOLICCY – w rękopisie.

WESPÓŁ Z W. MIŁASZEWSKĄ
I J. REMBIELIŃSKIM;

CHÓR WIEKÓW – antologia polskiej poezji religijnej z przedmową J. E. Arcybiskupa ks. J. Teodorowicza.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

WSPOMINAMY

**Kolekcja
Emilia Kornasia**

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN



CM KEX

329615

WSZYSTKIE PRAWA PRZEKŁADU, PRZE-
DRUKU, PRZERÓBEK SCENICZNYCH,
FILMOWYCH, RADIOWYCH, RECYTACJI
PUBLICZNEJ ITP. ZA STRZEŻONE.
COPYRIGHT BY STANISŁAW MIŁASZEWSKI

WYDAWCA: DRUKARNIA I KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
SP. Z O. O. W POZNANIU. TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW.
WOJCIECHA NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI „MALTA” 1939.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Di nr 141 / 201 / CM

PAMIĘTNIK POETYCKI

Wprowadzić garstkę ludzi do swego życia przez dziecinny pokój, zaprzyjaźnić ich ze sobą na niewidzianego dzięki wspólnocie odczuwań, dowieść, że kto mówi o człowieku — ten mówi o człowieczeństwie, oto była pobudka do zapisania tych wspomnień.

Coś z nich może się przyda również i obserwatorom zawsze ciekawego procesu, jak to z życia powstaje literatura.

Na długo przed posiedziem wiedzy abecadła już układałem wiersze. Oczywiście osobliwego pokroju. Osluchany byłem od niemowlęctwa z mową rytmiczną, bo matka moja lubiła i umiała deklamować wiersze. Bezwiednie uczyłem się ich na pamięć, a luki w strofkach łątałem bezsensownymi dźwiękami, byle nie wypaść z rytmu. Nie używałem jednak w tym celu sylab jednakowych, jak liczmany w śpiewie — „la la la“ — przeciwnie, gromadziłem sylaby ostro brzmiące przy miękkich i lubowałem się bezwiednie w ich kontraście.

Wierszyk o Bolesławie Krzywoustym,
znany mi z głośnego czytania a zaczynający
się od słów:

*Królewskie pacholę ma oczy sokole
I śmiało spogląda przed siebie*

pobudzał mnie do przerabiania go na mnóstwo nieartykułowanych, to ostrych, to łagodnych dźwięków, karnie poddanych rytmowi oryginału. Było to osobliwe *mruczando*, którym delektowałem się, zwłaszcza w łóżku przed zaśnięciem.

Wzbudziło to kilka razy zainteresowanie starszych, którym bez cienia żenady zaprodukowałem (z łóżka z niebieską siatką —) swoją dziecinną *botokudzką balladę*. Mogłem ją bowiem (jak i parę innych z odmiennym kluczem rytmicznym) powtarzać, a raczej na nowo improwizować.

Byłem wówczas tak mały, że jeszcze nie umiałem się wstydzić. Wstydlivość przyszła później, a jak — opowiem w swoim czasie.

Te pierwsze chyba na świecie dźwiękowce wygłaszałem z nieopisanym wzruszeniem. Skłonność do wzruszeń, dobrą pamięć i bardzo wrażliwe powonienie miałem od lat najwcześniejszych.

Dzieciństwo swoje pokochałem bardzo, kiedy minęło — i tęskniłem do niego jak do utraconego szczęścia. Zajmowała się mną wtenczas matka i starsza siostra przyrodnia,

Helena, do której byłem przywiązany prawie tak jak do matki. Bardzo wczesne wspomnienie pokazuje mi samego mnie na fotelu dzieciennym z opuszczanym stoliczkiem, w który tłukę rytmicznie pięściami, krzycząc: — Hel-wi-dor po-mi-dor!

Była to moja zemsta nad siostrą, a zarazem pierwszy mój czyn rymotwórczy, już artykułowany. Natchnienie do tego poematu zstąpiło na mnie z fantazji, bo porównana z pomidorem Hela, panna dorastająca i wybitnie ładna, nie miała nic a nic z tego pękatego owocu: była wysoka, z jasnym, długim warkoczem, który mi służył za lejce podczas zabawy w konie.

Wkrótce potem cały poemat dramatyczny ułożył mi się na wsi w taki oto niespodziewany sposób:

Pojechaliśmy, jak co roku, latem na wieś. Pamiętam, że mnie po przyjeździe umyto „ekstra“, po czym samotnie wymknąłem się na dziedziniec, gdzie była sadzawka dla kaczek, a przy jej brzegu — o krok — kamień jak wyspa. Stojąca na nim baba coś w sadzawce prała.

Gdy odeszła, zająłem jej miejsce na kamieniu.

I nagle obleciał mnie śmiertelny strach: zapomniałem, jak mam wrócić na brzeg... Przede mną woda, patrzę na prawo — też

woda, na lewo — znowu woda... Żeby się w tył obrócić, zabrakło mi pomysłowości... Z tego wnoszę, że byłem naprawdę bardzo jeszcze smarkaty.

Poczułem wówczas, że jestem zgubiony bez ratunku, że lada chwila nogi do reszty mi osłabną, że wpadnę w wodę i utonę...

I wtedy — proszę mi wierzyć, że byłem jeszcze za mały na kabotynerię świadomą — zacząłem żegnać się z życiem, rozrzewniony sam sobą do łez, żalujący siebie bez granic, lecz i — zrezygnowany. Nie krzyczałem, to pamiętam na pewno, ale bez słów żegnałem się z ogrodem, z dniem jasnym, poziomkami obiecany na podwieczorek, z mamą, z Helą i z całym rodzeństwem...

To uczucie rodzinne ocaliło mnie: z ostatnią strofą pożegnalnego poematu chciałem spojrzeć na dom, gdzie tylu ukochanych pozostało — i w tym celu obejrzałem się nareszcie za siebie...

O, tej radości nie zapomnę po prawdziwy grób: tuż za mną — o krok — był brzeg, a za brzegiem — ogród! Byłem ocalony. Lecz jak wróciłem do domu i co się działo później, już nic a nic nie pamiętam.

Dalszym etapem rozwoju mojej twórczości w owych „przedhistorycznych czasach“ była inscenizacja samobójstwa.

Zaczęło się od awantury przy obiedzie. Siostra moja Hela na jakąś uwagę matki odpowiedziała: „Ach, mama jest pocieszna!“ Kazano jej za to wstać od stołu. Wybiegła z płaczem. W te pędy poleciałem za nią i znalazłem łkającą, nieczułą nawet na moje pocieszenie. Wróciłem więc galopem do jadalni i zażądałem natychmiastowego cofnięcia kary. Z niezwykłą wobec mnie stanowczością matka kazała mi być cicho i siedzieć spokojnie, grożąc w przeciwnym razie odprawieniem i mnie od stołu.

Natychmiast odszedłem sam, już bez słowa, z jasnym postanowieniem: zakończyć życie w oczach całej obiadującej rodziny.

W tym celu położyłem się na podłodze tuż za progiem sąsiedniego pokoju, ażeby mnie dobrze widziano. Obrałem śmierć najprostszą: przez wstrzymanie oddechu.

Wyciągnięty na ziemi, w pozycji jak najbardziej trupiej, starałem się istotnie nie oddychać, zerkając, jakie wrażenie wywoła to na matce. Niestety rozmawiała dalej, nie zwracając na mnie żadnej uwagi. Po chwili przekonałem się ze zgrozą, że pomimo najszerszej chęci natychmiastowego skonania, muszę choć raz wciągnąć powietrze. Uczyniłem to szybko i dyskretnie i starałem się ten konieczny zabieg powtarzać jak najrzadziej.

Za to coraz częściej zerkalem w strone starszych, których obojętność wobec mnie była wprost niepojęta.

Stwierdziwszy, że ani umrzeć, ani nikogo swoim zgonem wzruszyć nie zdołam, wróciłem do regularnego oddechu. Nieruchoma pozycja na twardych deskach zaczęła mi nie na żarty dolegać. Sytuacja zrobiła się bez wyjścia. Mógłbym tak leżeć w nieskończoność, skazany na obojętność najbliższych... Ta obojętność, którą byłem zaskoczony, wywołała błyskawiczny domysł: „Chyba nie jestem dzieckiem mojej matki, ale jakimś podrzutkiem!“ Podejrzenie stworzyło nową sytuację: „Skoro jestem podrzutkiem, muszę być cichy i pokorny, zachowywać się nieomal jak żebrak w obcym domu“.

Wstałem i z całą pokorą zbliżywszy się do stołu, oświadczyłem matce głosem nabrzmiałym od smutku, że już teraz wiem wszystko. Moje miejsce jest w kuchni. Jako podrzutek, powinienem zawsze czuć wdzięczność i niczego się nie dopominać.

Widzę do dziś dnia okrągłe ze zdumienia oczy matki, gdy zacząłem jej mówić „pani“, oraz dopraszać się przebaczenia z manifestacyjnym uniżeniem.

Oczywiście, wszystko zostało jakoś załagodzone, a ja do tej chwili pamiętam wyśmienity smak jajek na miękko (w ulubionych

przeze mnie kieliszkach malowanych w kurki i kogutki), które przyniesiono dla mnie i dla Heli jako rekompensatę za obiad.

Zdolności do inscenizacji rozwijały się we mnie szybko. Rozszerzyłem nawet pole działania poza dom. Znalazłszy się raz z matką w kwiaciarni, snułem się tam po kątach, czekając, aż mama załatwi swoje sprawy. Nagle zauważyłem śliczny czerwony goździk. Leżał z odłamaną łodygą pod oknem. Strasznie mi się zachciało mieć ten kwiatek na własność. To pragnienie musiało się uwidocznić na mojej twarzy, gdyż przechodzący przez sklep subiekt nagle kiwnął mi głową porozumiewawczo. Momentalnie schyliłem się i schowałem kwiat do kieszeni płaszczyka.

Przez całą drogę powrotną z Marszałkowskiej na Chmielną zajęty byłem obmyślaniem historii, która by usprawiedliwiła posiadanie goździka. Znalazłszy się w domu, pobiegłem wprost do salonu i zatknąłem moją zdobycz w doniczkę z fikusem. Po czym, symulując zdumienie, zacząłem wołać radośnie:

— Chodźcie! Chodźcie! Śliczny kwiatek tu wyrósł!

Na moje okrzyki wszyscy się zbiegli. Biegałem w koło doniczki zgrywając się, jak dziś to widzę, całkiem po aktorsku i powtarzając na różne tony:

— O, jaki śliczny kwiatek wyrósł!

Cud ten wywołał nieoczekiwaną dla mnie reakcję. Kilka szybko po sobie następujących faktów zlepilo się w pamięci, jak dwie stronicie w książce. Świadomość zachowała jedynie epilog: klęczę na mym wysokim krześle i jeszcze zalany łzami głośno odmawiam pacierz... Straszliwy wstyd, którego temperaturę dotąd na skórze uczuвам, był pokutą za czyn nazwany przez dorosłych kradzieżą.

Wszystkie te przeżycia zaliczam do pierwszych drgnień budzącej się twórczości dramatycznej. Nie będę mnożył jej przykładów z okresu analfabetyzmu. Wolę przejść od razu do obfitszego w wydarzenia okresu następnego, gdy się już zapoznałem z elementarzem.

Pierwsze sekrety abecadła posiadm równocześnie z pierwszą wiadomością o tajemnicach bytu pozagrobowego. Lekcję czytania z mamą przerwała raz wizyta — jak dziś pamiętam — pani Korzonowej, która przyszła opowiedzieć wrażenia z seansu spirytystycznego z Eusapią Palladino.

Zakradłszy się za kanapę, podsłuchiwałem, zamierając z ciekawości i strachu. Dziwne słowa: „lewitacja“, „aporty“, „katalepsja“ powtarzałem dnia następnego z lubością, w coraz to innych kombinacjach *rytmicznych*.

Brzmienie tych obcych słów pociągało mnie, gdyż odnajdywałem w nich te same ugrupowania dźwiękowe, które tworzyłem w owych dziecinnych improwizacjach. Pogłębiała się we mnie skłonność do kombinacji dźwiękowych działających na mój słuch jak pieszczota. Gdy później, znacznie później, czytałem u Słowackiego: „Oktawa pieści, kocha mnie sekstyna“, — pojąłem w lot, że oktawa robi to podobnie, jak lewitacja, a sekstyna — jak katalepsja.

Jeszcze zaś później to dziecinne wspomnienie pozwoliło mi zrozumieć całą soczystą przyjemność, jakiej doznawał któryś z „bosiaków“ Gorkiego, kiedy wymawiał dziesięć razy z rzędu egzotyczne dla siebie słowo „preiskurant“.

Oceniać urodę słów pospolitych, słów rdzennie polskich, nauczyłem się dopiero później.

Jak wcześniej i w jaki osobliwy sposób zawierało się czasem pierwszą znajomość z Janem Kochanowskim w domu polskim, niech świadczy następujące wspomnienie:

Z zestawienia pewnych dat i zdarzeń rodzinnych wnoszę, że już w szóstym roku życia przyjąłem do wiadomości istnienie „Księcia poetów“, którego córka „mówiła wierszami“, a potem zmarła w wieku dziecinnym. Zaciekawiony rówieśniczką, będącą jedno-

cześnie „Księżniczką poetów“ i nieboszczką, a więc piastującą tajemnicze zaszczyty, zasięgałem o niej języka, gdzie tylko się dało.

Moja smarkaczowska ankieta przyniosła wyniki obfite. Pouczyła mnie nie tylko o imieniu Urszulki, ale i o rzeczy najcudowniejszej i najstraszliwszej na świecie, mianowicie o pokazywaniu się duchów.

Nie wiem, skąd wiedzą dzieci o istnieniu tak zwanych „strachów“, ani kto pierwszy strachu je naucza. W każdym razie ja sam nie zaraziłem się tą wiedzą tajemną od służących, które miały surowo zabronione szerezenie zabobonów. (Rzecz działa się, kiedy pozytywizm stał w samym zenicie). Jeśli zatem bałem się siedzieć po ciemku, to zaraz niańka upewniała mnie, iż „żadnych duchów nie ma, bo duchy mają co innego do roboty“.

Wskutek częstego wysłuchiwania tej prawdy wyryła się ona w mojej głowie wielkimi literami. Aliści rozum z niańką swoje, a strach z fantazją — swoje. To drugie stronnictwo wzięło górę, pokazawszy mi naocznie ducha Urszulki, nieboszczki i „Księżniczki poetów“.

A było to tak:

Przede wszystkim był ciemny „pasaż“ między pokojem stołowym a kuchnią. Tam, w rogu, nieopodal łóżka kucharki stała zielona skrzynia przerastająca o całe wieko mają nad wiek wybujałą sześćioletnią wysokość.

Skrzynia ta była magazynem cudów zapędzającym w kozi róg sam wór świętego Mikołaja z wigilijnymi darami. Na samym dnie spoczywał cybuch wiśniowy mojego wzrostu, z bursztynem gruszkowatym, tak dużym, że mi do ust nie wchodził, chociaż je rozdzia-
wiałem jak najszerzej.

Ten drogą aromatyczny lubił ciepło jak Turek, bo przykrywał się stertą szalów wschodnich i poprutymi sukniami z mnóstwem wyblakłych wstążek i dziurawych koronek.

Był w tym kufrze cały strych w miniaturze. Na dnie zaś — obok drągała od fajki — stała w tej wielkiej skrzyni mniejsza, obita płótnem skrzynka ze srebrem stołowym od parady i z pamiątkami, których dzieciom nie dawano do rąk. Rzadkie i szczęsne były chwile, gdy mama odwijała ze skrawka welonu kromkę suchego chleba z wetkniętymi w nią dwoma dukatami, bryłką soli i kawałkiem cukru...

Otóż na tym zielonym kufrze zobaczyłem kiedyś o zmierzchu — Urszulkę Kochanowską. Stała w białej i lekkiej jak welon sukience, przewiązanej szarfą bez barwy, i miała rozpuszczone złotawe włosy, w których jej twarz rozpływała się tak, jak się rozpływa księżyc w lisiej czapce z mgły.

Od pierwszego spojrzenia wiedziałem, że to właśnie ona, Urszulka — i nie zląkłem się

prawie wcale. Chciałem nawet podejść bliżej, ale stropiła mię ciemność; ciągle więc patrząc na Urszulkę, otworzyłem drzwi do stołowego pokoju i zobaczyłem, że za oknami już zapada mrok.

Wtenczas dopiero strach mnie obleciał naprawdę, bo według mojej smarkatej demonologii samorodnej — o szarej godzinie chodziła po mieszkaniu powietrzem „szara pani“ i kiwała palcem wabiąco na dzieci z odpychającym uśmiechem na twarzy. Na myśl o tym umknąłem do matki, wstydząc się trochę samego siebie i żałując straconych odwiedzin Urszulki, która, jak byłem pewien, długo jeszcze stała na kufrze.

Oczywiście musiało to być przywidzenie. Po prostu odtworzyłem sobie po amatorsku, w teatrzyku dziecinnej wyobraźni, tren Kochanowskiego o widzeniu umarłej córeczki we śnie. W mojej pamięci jednak zagrobowa jej wizyta zapisała się nie jako przywidzenie, ale jako fakt i zostawiła mi do dzisiaj posmak prawdziwego przeżycia.

W kilka lat później Kochanowski oddał mi wielką usługę, tym razem na pograniczu istotnego życia duchowego. Miałem właśnie iść po raz pierwszy do spowiedzi. Zdobyłem się na skrupulatny rachunek sumienia, ale nie stać mię było wobec grzechów na żal dosko-

nały. W oschłości moich modlitw krzewił się przymus i zniechęcenie.

— Szukając wyjścia z tego stanu ducha, sięgnąłem po najgrubszą, babczyną jeszcze, książkę do nabożeństwa, gdzie na odwrocie okładki spisany był rejestr wydarzeń rodzinnych ze wzmianką, iż dnia takiego a takiego „urodził się nasz najukochańszy synek Staś“, po czym spis kończył się datą śmierci mego ojca.

Otóż ta zacna książka do nabożeństwa otworzyła mi się na psalmie „Kto się w opiekę“ podanym bez poprawek Konopnickiej, która polszczyznę Kochanowskiego nieco unowocześniła.

Psalm ten, z „łowczymi obieżami“ i całą strofą ostatnią w nieznanym mi poprzednio autentycznym brzmieniu, wydał mi się czymś nowym i wzruszył mię do głębi wywołując ducha skruchy i żalu.

Odtąd wiedziałem, skąd mi najłatwiej zawziąć pokrzepienia... Ilekroć chciałem dźwignąć się na duchu, brałem *Psalterz Dawidowy*, by przede wszystkim odczytać sobie najulubieńsze strofy psalmu LXXXIX:

*...Wszyscy mocarze ziemscy Tobie biją czo-
[łem,*

*A jasność prawdy Twojej obeszła Cię kołem.
Ty pychę morską króciś, ty nieujeżdżone
Wąły jęgo hamujesz pod niebo wzniesione...*

*Południe i północy, wschód słońca różany,
I zachód Twym dowcipem stoi zbudowany.
Można jest ręka Twoja, wysoka prawica
Na sądzie, a na prawie Twoja tkwi stolica.*

W tych czasach lepiej deklamowałem, niż sylabizowałem. Mnóstwo wierszy nagromadziłem w pamięci ze słuchu. Pensjonarski repertuar moich sióstr poznał mnie ze „Świtezianką” i „Ojcem zadżumionych”. Dzięki zamilowaniu mamy do deklamacji (brała lekcje od Kotarbińskiego) byłem au courant prądów nowocześniejszych spod znaku Asnyka i Konopnickiej.

Asnykiem upajałem się bez zastrzeżeń. Zwłaszcza wiersz „Sam na sam” deklamowałem na wszystkie tony — sobie, nie komu — jednak zawsze tylko w pustym pokoju, ażeby nikt nie słuchał tajemnic tego *przeżywania* wierszy, bo tak według dzisiejszej terminologii trzeba by to nazwać.

Nigdy nie zapomnę pewnego przedpołudnia, gdy kroczyłem dookoła stołu w krótkich majtkach, spod których wyglądały wiecznie posiniaczone kolana (ubrania nigdy jakoś nie mogły nadążyć za moim wzrostem w górę), grzmiałem elegijnie:

*Dzień był tak ciężki, wieczór taki głuchy,
Wiejący chłodem grobów i żałobą.
Wszystkie życziwe odbiegły mnie duchy,
Łzy i nadzieje unosząc ze sobą...*

*Więc przy ognisku wygasłem, szerniałem,
Sam na sam — tylko z nieszczęściem zo-
[stałem.*

*Gość to surowy: serca nie rozpieści,
Ani mu nie da we łzy się rozplynać...*

W tym miejscu otrzymałem pierwszy w życiu okłask: to moja matka znajdująca się właśnie w sąsiadującej ze stołowym pokojem ubikacji — dała mi stamtąd brawo...

Był to grom z jasnego sufitu! Podśluchano mnie i okłaskiwano... i to z tak *prozaicznego* miejsca! Uciekwszy na drugi koniec mieszkania, do saloniku, padłem na kanapę i pozwoliłem jednak „sercu we łzy się rozplynać“. Łzy pocziwie i dyskretnie wsiąkały w tę samą staroświecką kanapę, którą tyle razy gryzłem przez pokrowiec aż do wypłowiałego aksamitu, ażeby zdusić płacz.

Później część tej sceny połączyłem z innym wspomnieniem i przenieśliem do aktu pierwszego mojego „Balu w obłokach“. Zamiast siebie podstawilem tam — Ludkę, lecz łzy zostały łzami i to na swoim miejscu: na kanapie.

*

O potędze wspomnień dziecinnych, które żyją w każdym z nas odrębnym, samoistnym bytem, przekonałem się dopiero niedawno, w okolicznościach dosyć niezwykłych. Tak

się złożyło, że we Włocławku, gdzie po drugim zamążpójściu matki mieszkałem od ósmego do szesnastego roku życia, nie byłem potem przez trzydzieści z górą lat.

Dopiero w roku 1936, podczas kuracji w Ciechocinku po ciężkim wypadku samochodowym, wybrałem się do tego miasta ślicznie położonego wśród lasów nad Wisłą. Cieszyłem się na tę wycieczkę „w kraj lat dzieciennych“. Pachniał mi stamtąd urok pierwszych lat szkolnych z rowerem, łódką, strzelaniną z floweru i ochotniczym udziałem w amatorskich przedstawieniach miejscowego klubu wioślarskiego.

Tam, we Włocławku zapoznałem się z Szekspirem trzypięciowym, w ilustrowanym wydaniu Kraszewskiego. Walki rycerzy Białej i Czerwonej Róży, pojedynki Makbeta z Makdufem odtwarzałem — ileż razy! — przed wielkim lustrem w mahoniowych ramach, młynkując urzędniczą szpadą od galowego munduru ojczyma.

Postanowiłem więc obejrzeć stare włocławskie kąty i dobrotliwie, a płyciutko może się i rozrzewnić między obiadem a kolacją. Podczas skutecznych kąpieli w błocie, świeżo odrzuciłem spod ramion kule i zaczynałem wcale nieźle kuszytykać o lasce. Odzyskanie względnej swobody ruchów zachęcało mnie do tej wycieczki pomiędzy wspomnieniami.

Atoli we Włocławku spotkała mnie surowa niespodzianka. Zamiast letnich, słodziutkich półwzruszeń i klepania *siebie* przez szkolny mundurek po plecach czekało mnie coś innego.

Miasto mego dzieciństwa ścisnęło mnie za gardło taką twardą ręką, że byłbym literalnie wył z bólu, gdyby nie obecność znajomej, która wybrała się ze mną do Włocławka, ażeby świeżego uzdrowieńca „pilotować”. Wstrząs jednak był tak wielki, że już niedużo brakowało, a byłbym swą przygodną opiekunkę pożegnał i zaszył się w kąt jakiejś hoteliny, ażeby się po prostu wypłakać...

Bo z rogu każdej ulicy wychodził na moje spotkanie *drugi ja*, tylko w uczniowskim ubraniu, i zmuszał mnie żyć podwójnie jedną, porządnie skołataną wtenczas duszą.

Od pamiątek tak żywych, chociaż już nieżywych, można się było odgrodzić tylko nowymi pamiątkami... Więc wędrowałem pod rękę z moją samarytanką po przecznicach i bocznicach, prowadząc jednocześnie dwie rozmowy: jedną zdawkową, drugą głębszą, choć bez głosu — z widmami.

Czując się już raczej widmem niż człowiekiem, postanowiłem nareszcie pójść na miejsce dla siebie najodpowiedniejsze — na cmentarz.

Młoda moja opiekunka ofiarowała się odprowadzić mnie nawet i do tego zacisza ostatniego spoczynku... Z nowego (niegdyś, niegdyś...) Rynku, gdzieśmy mieszkali przed laty, ruszyłem ulicą Zduńską ku leżącemu nieopodal staremu cmentarzowi.

Ale cmentarza już nie było. Zamiast niego rozpościerał się jeszcze jeden rynek — najnowszy. Uczulem się naprawdę jakąś duszą czyścową, której mogiłę zaorano, gdy była na pokutnej wędrówce... Nie chciało mi się w głowie pomieścić, że i cmentarz umiera.

Dobrze się stało, że nie byłem sam. Konieczność trzymania siebie i rozmowy w ryzach normalności *podtrzymywała* i mnie samego.

Zapragnałem napisać parę słów do żony. Weszliśmy do pierwszego lepszego sklepiku z jakimiś kopertami na wystawie. Lecz materiałów piśmiennych tam nie sprzedawano, jedynie — zużyte znaczki pocztowe i koperty z osobliwymi stemplami. Był to sklep filatelistyczny. Sprzedawcy, młode izraelskie małżeństwo, robili niesamowite wrażenie: ich oczy z aksamitu, twarze z kości słoniowej i za duże, nieodpowiednie do mizernych tułowiów głowy, schylone nad stertami używanych znaczków, wszystko to zakrawało na wizyjną groteskę z opowieści Hoffmanna.

Nie wiedząc, gdzie się podziać, co zrobić z dwiema godzinami dzielącymi mnie od przyjscia autobusu, postanowiłem udać się jeszcze do katedry. Jej mroczne, gotyckie wnętrze, jak zwykle po południu puste, wydało mi się schronieniem, gdzie nikogo nie zdziwi nawet ukrycie twarzy w rękach.

Ostatkiem sił nerwowych dowlokłem się do katedry, pod której smukłe łuki padała z zachodu przez portal smuga słońca. I nagle uczułem, że mi kamień — literalnie — spadł z piersi. Piękno wielkiej architektury podziało na mnie jak cudowny lek. Poczuliem, że mi wracają siły i spokój — wobec tego cichego majestatu, w którym przeszłość żyje w dostojnym uśpieniu.

Przyłączyłem do niej tę obolałą drobną przeszłość własną, która z takim cierpieniem tak nagle we mnie ożyła... Smutek rozplynął się w milczącym pięknie: stałem się znowu normalnym, opanowanym człowiekiem.

Odtąd wiem na pewno, że piękno jest człowiekowi potrzebne, że go odżywia i leczy nie tylko duchowo, lecz i fizycznie. Odtąd, ilekroć mi jest źle — wracam myślą pod te cudowne łuki, których harmonia przywróciła mi spokój.

Zatrzymałem się trochę dłużej na tej „przedlodowcowej“ epoce mojego życia, bo

w niej tkwią korzeniami liczne zdarzenia późniejsze, już do bieżącej literatury należące.

Zresztą dzieciństwo i poezja tak wybornie rymują się ze sobą, że trudno się oderwać od swego małego Herkulanum, zawalonego przeszłością... Więcej się o nim gwarzy, niż o popiele życiowym, który to później przykrył...

Wspomnę jeszcze z czasów dziecinnych o nieudanej pierwszej próbie zostania literatem.

Powtórzyła się ze mną historia molierowskiego pana Jourdain, uszlachconego mieszczucha: tak samo jak on — doznałem był olśnienia, że *mówię prozą*, że to, co wygaduję codziennie, jest dostojną czynnością używania prozy, prozą bowiem jest wszystko, co nie jest wierszem.

Nabrawszy dla siebie szacunku jako dla wytrawnego prozaika, postanowiłem spróbować swoich sił w poezji.

Pisać już wówczas umiałem, nawet dosyć kaligraficznie. Tłum słów i myśli kłębił mi się w głowie, ale żadną miarą nie chciał z niej wyjść na papier. Ponieważ byłem niedługo przedtem świadkiem czytania improwizacji Konrada na potajemnym kółku samokształcenia w naszym domu, więc spróbowałem

zastosować ten środek natchnieniodawczy, do którego zawsze uciekał się Mickiewicz, mianowicie — muzykę.

Nie mając pod ręką Frejenda z fletem, zacząłem nucić po kolei wszystkie znane mi melodie. Niestety, pomimo to nie zdołałem sklecić rymem ani dwóch wierszy z sensem przez całe dwie godziny, po czym uznałem, że jestem wiekuiście skazany na prozę.

Proszę wierzyć, że było to dla mnie prawdziwym smutkiem i najrealniejszym zawodem... I pierwszą także w życiu lekcją rezygnacji. Gdy się później zetknąłem z wierszem Krasińskiego

*O, w sercu mojem są niebiańskie dźwięki,
Lecz nim ust dojdą, łamią się na dwoje...*

to wiersz ten nie był już dla mnie literaturą, ale przeżyciem, potwierdzonym przez moje własne doświadczenie.

O swym życiu dojrzałym nie będę tu nic wspominał. Szczegóły osobiste istnieją już w uogólnieniach poetyckich i nie mam chęci teraz ich stamtąd wydobywać. To własność prywatna, może nie tylko moja. Znałem wielu ludzi ciekawych i sporo nieciekawych. Wreszcie poznałem się też po trosze *sam na sobie* i wyznaczyłem dla siebie odrębny kąt w pisaninie współczesnej.

W zbiorze „Gest wewnętrzny“ umieściłem tylko wiersze, które jako tako odrębność tę wyrażały. Dlatego nielicznym jedynie strofkom pozwoliłem zobaczyć druk i ładę księgarską.

Norwid mówi, iż są „łzy, co przepelniać zwykły, a nie pełnić czasę“. Według mnie tylko takie mają znaczenie w liryce.



Wierzę, iż nie ma człowieka, który by nie był czasami poetą. Poetą bywa każdy, czy o tym wie, czy nie wie...

Tylko nie każdy umie nim być — wobec innych.

Tej ostatniej sztuki uczy nas właśnie — sztuka... czyli zawiły aparat prawideł i praw, do którego talent jest kluczem, a zręczność naśladowcza wytrychem. Aparatowi temu sens istotny daje każdorazowo osobistość człowieka, który go używa. Najkunsztowniejsza liryka wywodzi się zatem ze zwyczajnego przeżycia.

Ot, na przykład pospolity list, przez kogoś nie przyjęty, dlaczegoś nie wysłany albo *nie napisany* nawet, bywa ojcem liczego potomstwa lirycznego, najczęściej ojcem nieznanym...

Otóż moim dążeniem, moją ambicją było — dać wierszom niesfałszowany rodowód.

Chciałem, żeby w każdym z nich czuło się rzeczywistość uczuciową za plecami artystyczności.

Nie jest wszakże poezja moja lirycznym inwentarzem wypadków rzeczywistych. Rzeczywistością bywa przecież nie tylko to, co się zdarzyło, lecz i to, co się zdarzyć było powinno, gdyby „losów przekorność“ inaczej nie zrządziła... Odłamana gałązka — to wielki konar, za młodu ginący. Być może, mocna przyszłość zginęła w kruchej witce...

Poeta ma prawo poświęcić jej chociażby — epopeję!

Gdy czynię bilans wspomnień mojego dzieciństwa, przyznać muszę, iż przygotowało ono mnie dobrze do zawodu rymopisa, nie śmiem powiedzieć — do powołania poety.

Dzieciństwo dało mi poznać arcydzieła dobroci kobiecej — w miłości macierzyńskiej i siostrzanej. Przyzwyczaило mię (a w tym taίło się sporo niebezpieczeństwa!) do uważania za rzecz zwyczajną, iż jestem przedmiotem miłości... Miało to wpływ na moją przyszłość literacką.

W tej atmosferze zżyłem się lepiej niż przez studia z całym bezcennym zasobem literatury naszej — od „Trenów“ o Urszulce Kochanowskiej, przez najpopularniejsze utwory trzech wieszczów, z Fredrą, Ujejskim,

Lenartowiczem, Polem, aż do Konopnickiej, która wtedy stała w zenicie swojej sławy.

Poezje te wydawały mi się czymś równym piosnkom ludowym i muzyce Szopena. Wszystko to było dla mnie tak samo naturalne, jak ćwierkanie wróbli albo szum wiatru za oknem. Nie pamiętam, kiedy tego wszystkiego nie znałem.

Z takim przygotowaniem polonistycznym zdołałem przetrzymać bez zepsucia swej polszczyzny gimnazjum rosyjskie, a przy studiach uniwersyteckich dorównać kolegom ze szkół małopolskich u Tarnowskiego, Windakiewicza, Zdziechowskiego, Porębowicza.

Dzieciństwo dało mi zobaczyć z dobrej strony duszę poezji polskiej i kobiety polskiej oczami, które dużo i osobliwie widzą — oczami dziecka. Odtąd mam do poezji i do kobiety polskiej głębokie przywiązanie, bo jeśli nawet z biegiem lat poznałem je i od innej jeszcze strony, to owe spostrzeżenia późniejsze moja natura traktuje nieufnie, jako coś narzuconego przemocą przez intelekt, lecz wcale nie potwierdzonego przez instynkt.

Wyższym od uniwersyteckiego nawet studium literackim było dla mnie spolszczanie utworów cudzoziemskich. Wspaniałym wzorom tłumaczy z epok dawnych, z dzisiejszych zaś mistrzostwu Miriama-Przesmyckiego i Edwarda Porębowicza zawdzięczam

w znacznej mierze to, co mnie samemu w dziedzinie przekładów udało się dokonać.

Pełne wdzięczności wspomnienie budzą też we mnie niezapomniane wskazania świetnego krytyka i stylisty, Antoniego Potockiego, który zaszczycał mnie przyjaźnią. On to wspomniała, zadzierzystą polszczyzną „formował mi rękę“ — bezpośrednio na Arturze Rimbaud, torturowanym niewiarą poeciemy, który przed laty sześćdziesięciu pisał, że z łakomstwem czyha na Boga...

Na kilka lat przed wojną zamieszkaliśmy podczas wakacyj z Antonim Potockim w historycznym dziś domku, w którym Wyspiański oglądał wesele Rydla. Panna Tetmajerówna, owa Isia z „Wesela“, pokazywała nam który to krzew różany był Chochołem i w jakiej izbie tańczono najzawzięciej. Chociaż była małą dziewczynką, dobrze zapamiętała Wyspiańskiego: blady i drobny, snuł się w milczeniu z izby do izby między gośćmi.

„Miał dziwne oczy“ — zakończyła.

Dworek ten po wyprowadzeniu się państwa Włodzimierzostwa Tetmajerów do pobliskiego murowańca, stał pustką przez kilka lat, i gdyśmy go obejmowali w posiadanie, środkiem sieni biegła mrówcza droga.

Na nadgniłym ganeczku, obok róży-Chochała, gorzały dyskusje o starożytnościach i nowościach literackich, o Moréasie.

Laforge'u, Claudelu i Apollinaire, którego później poznałem osobiście w Paryżu.

Przede wszystkim jednak panoszył się na bronowickim ganeczku Artur Rimbaud i jego „Iluminacje“, będące długo światłością nowej u nas sztuki i jej relikwią zarazem.

Prócz tego lubowaliśmy się podówczas w Moréasie, którego „Stance“ tłumaczyłem właśnie. W niezapomnianym nastroju, w ci-szy wiejskiego popołudnia, odczytywałem je później Potockiemu albo deklamowałem podczas naszych spacerów na bliskie płasko-wzgórze, imieniem Wróżna. Cudowny widok roztaczał się stamtąd na Kraków.

Wystarczy, abym wspomniał owe czasy, a już samo mi się skanduje:

*Nie trzeba mówić: życie to huczna biesiada!
Umysł płochy lub dusza pozioma tak*
[mniema.

Nie trzeba mówić: w życiu prócz klęski nic
[nie ma!

Bo tak wiatrem podszyta дума na wiatr
[gada

*Raduj się, kiedy wiosna gałęźmi szeleści,
Placz, kiedy fala płacze, z wiatrem złącz*
[westchnienia,

Zakosztuj wszystkich uciech i wszystkich
[boleści,
I mów: to bardzo wiele! I mów: to cień cienia.

Lecz nie tylko klasyczny spokój Moréasa i niesamowite błyski Artura Rimbaud, genialnego podrostka na progu obłądu, zajmowały mój umysł. Jeszcze więcej przejmowały mnie w nim drgnienia metafizyczne duszy jasnowidzącej wieczność i niebo, lecz odrywającej się od nich z zuchwalstwem potępieńczym.

Dworek w Bronowicach zappełniał się nieraz przybyszami z Krakowa. Odwiedzali nas najczęściej: poeta, powieściopisarz i malarz w jednej osobie — Bogusław Adamowicz, egzotyczny poeta Wincenty Brzozowski, muzyk Karol Szuster, Lucjan Rydel z pobliskich Toń i paru innych artystów. Mam z owych czasów karykaturę imieninową, której autorem był p. Roman Knoll, późniejszy minister.

Co najmniej dwa razy na dzień zachodził do nas sąsiad najbliższy, Włodzimierz Tetmajer, niezrównany w dykteryjkach i obserwacjach ludowego obyczaju.

Gromadka tych ludzi, przewijająca się chaotycznie przez izby bronowickie, dawała mi czasem złudzenie, że jestem świadkiem jakichś nienapisanych scen „Wesela“.

Od dzieciństwa przejawiana skłonność do instynktownej inscenizacji wrażeń, oraz uwielbienie żywego słowa wskazywały mi wcześniej drogę do twórczości dramatycznej.

Pisząc „Farysa“ połączyłem styl poezji wschodniej z liryką wzruszeń własnych, tak bardzo osobistych, że aż chciałem je zneutralizować przenosinami za Morze Śródziemne i ukryć pod fantastyczną formą.

Zanurzyłem się więc na długo — i z prawdziwą rozkoszą — w poezje Arabii i Persji. Posiadam całą antologię wierszowanych i prozaicznych przekładów własnych z Saadiego, Kisai i wielu innych.

Z Koranu wypisałem sobie:

„Obchodźcie się z kobietami łagodnie, wszak stworzone są z żebra, a żebro jest krzywą kością: jeżeli je będziecie przemocą prostować, złamiecie je“.

Poeta Kisai powiedział mi, że:

„Róża jest łaską z nieba nam zesłaną: człowiek wśród róż szlachetnieje. Przekupniu róż, dlaczego bierzesz pieniądze za róże... Cóż dostaniesz za pieniądze cenniejszego — od róż?“

W Sardarze głęboko odczułem jego rozdwojenie:

„Dwie sprzeczności osiadły społem w moim ciele: z oczu łzy ciekną, a serce ogień mi pożera. Podobny jestem chmurze mającej w sobie wodę i ogień zarazem“.

Bezimienny Beduin wzruszył mnie westchnieniem:

„Dzień wczorajsz y lzy mi wycisnął, a dzisiaj płacę po wczorajszym dniu“.

Zarzucano mi parokrotnie, że twórczość moja ma zbyt jasny rodowód, że wywodzi się wprost od wielkich naszych poetów romantycznych. Otóż, kto by w wierszach mego „Farysa“ dopatrywał się (wskazanego przeze mnie cytata z Słowackiego pod mickiewiczowskim tytułem) podobieństwa do dzieł tych wielkich poetów, niech zechce także spostrzec, że poeta współczesny w mojej osobie sięgnął do tych samych źródeł, z których tamci wielcy czerpali. Że Miłaszewski nie przestawał na wiedzy Mickiewicza i Słowackiego o poezji Wschodu, ale sam do niej sięgał bezpośrednio.

Istota mojego „Farysa“, oparta gdzieniegdzie na wschodnich stylizacjach poetyckich, sięga głębiej, bo już poza literaturę.

Pragnąłbym dziś wskazać, gdzie się ujawnia ślad rzeczywistych przeżyć w bajecznej akcji „Farysa“. Oto w odsłonie szóstej, w scenie trzeciej, pierwsze dwanaście wierszy monologu *może* stanowią osobny, niezależny utwór... Może to jakieś liryczne zwierzenie, niezależne zupełnie od ruin Tadmoru i pustyni Libijskiej? Może tak samo czuć by

można w Paryżu czy w Warszawie... Może w brulionie „Farysa“ zamiast patetycznej „zasłony“ była współczesna „woalka“, zamiast wschodniego imienia „Leila“ zwyczajny przymiotnik: *kochana*.

Wtedy monolog brzmiałby tak:

Woalko z ukochanej lic!

*Ty jedyny, ostatni lachmanie miłości,
Strzępku szczęścia, z którego nie zostało nic,
Calunie pocałunków, zgubionych w nicości..
Kochana, to lzy twoje z moich oczu cieką,
I gardło mam zdławione spazmem twoich
[lkań...*

*Żyjesz we mnie, choć jesteś daleko... daleko...
Oto cię wskrzeszam w sobie cudotwórczym:
[„wstań!“*

*Z grobowca w sercu ciebie przemocą wy-
[wlokę,*

*Z trumny wspomnień dobędę cię na światło
[dnia!*

*Niech pęka grób twój, serce niech sączy
[posokę,*

*Bo z mej krwi cię wywołam, z serca wyrwę
[ja!...*

Sprostować i odeprzeć chciałbym w „poetyckim pamiętniku“ jeszcze inny zarzut. Oto pomówiono mnie ni mniej ni więcej tylko o... *pobożne fałszerstwo* wobec Don Ki-

szota, któremu rzekomo w moim dramacie włożyłem szkaplerzyk hasel katolickich.

Zarzut tego „pobożnego fałszerstwa“ dotyczy głównie tyrady Don Kiszota o zadaniach rycerza chrześcijańskiego w scenie trzeciej odsłony jedenastej:

GOSPODYNI

*Co pana z jego domu, od własnego kęsa
Gna i zmusza, by pan się po świecie wa-
[łęsał?*

DON KISZOT

*Kto zmusza mnie? A kto zmuszał
W czasach, które przeszłość skrywa,
Szalonego Horacjusza,
By w pancerzu Tybr przepływał?*

*Kto kłaść rozkazał Scewoli
Dłoń w ogień, co mu ją przeżarł?
Dlaczego wbrew losów woli
Przez Rubikon przeszedł Cezar?*

*Dlaczego flotę Hiszpanom
Spaliło Korteza męstwo,
Kiedy ocean zdeptano
W świat nowy niosąc zwycięstwo?*

*Czemu od Greków Azjata
Hańby poddaństwa nie wymógł,
Gdy Grecji przed resztą świata
Bronili?*

SANCHO

Nie wiem, dalibóg!

DON KISZOT

*Sława, podnieta ludzkości,
To sława, to sława ludzi
Do czynów nadludzkich — ludzi,
Przez śmierć — do nieśmiertelności!*

*I my walczymy, chrześciance,
O sławę, lecz wiekuistą!
Nie dla nas, dla Ciebie, Panie,
Gotowi umrzeć — pro Christol*

*Nas mierzi sławy uluda,
Co razem z ziemią przeminie:
My, waląc w proch wielkoluda,
Godzimy w pychę jedynie.*

*Z zazdrości gadem padalczym
Walczymy wielkodusznością,
Z lenistwem — wytrwaniem walczym,
A z wyuzdaniem — wiernością.*

*Rycerstwo — podłości postrach —
W naszej pielgrzymce wytrwalej
Depczem po zbrodniach i monstrach
Jako po stopniach do chwały!*

Otóż stwierdzam, że cała powyższa przemowa pochodzi z ust autentycznego, cervantesowskiego Don Kiszota i jest tylko

przeze mnie spolszczona i zrymowana. Szkalperz bowiem na zbroi rycerza z Manczy był jego oręża duchowego częścią nieodzowną, nie zaś moim „pobożnym wymysłem“.

Nie warto jednak wsłuchiwać się zbyt długo w zarzuty pochodzące z niedostatecznego rozczytania się w Cervantesie i z niedoczytania rzetelnie do końca nawet... Don Kiszota.

Jeszcze wyraźniejsze niż w „Farysie“ refleksje życia osobistego znajdują się w moim „Balu w obłokach“. Główna bohaterka, Ludka (ta sama, która moimi łzami płakała na pluszowej kanapie...), została przeniesiona do tej komedii prosto z rzeczywistości. Ta Ludka jest bowiem nie tylko *heroiną* „Balu“, ale i najdroższą autorowi istotą. W jej prototypie życiowym spotkał on po raz trzeci arcydzieło kobiecości najbujniej, najharmorniej i najofiarniej może przejawione... Do świetlanych dla niego pojęć *matka* i *siostra* przybyło *trzecie* — rymujące się z nimi najpiękniej...

Są ludzie, którzy kobiety w rodzaju Ludki znają tylko z „Pana Tadeusza“... Nie dziw tedy, że im się wydają nierzeczywiste. Cóż ja mam na to powiedzieć? Chyba to, że współczuję ich rzeczywistości.

WSPOMNIENIE
O ZMARŁYM POECIE
(WIKTORZE POPŁAWSKIM)

Gdy śmierć niespodziewana zabiera bliskiego człowieka, ma się wrażenie, że ziemia nie zgryzie go całego, dopóki w jej wilgotne żuchwy nie pójdą i ci wszyscy, w których żyje pamięć o nim.

Wspomnienia mają swoją autonomię: nadają znaczenie faktom bez znaczenia, a degradują nieraz to, co wybijało się na pierwszy plan wedle mniemania ogólnego.

Te myśli nasunęła mi niespodziewana śmierć śp. Wiktora Popławskiego*), dwudziestego siódmego marca 1935 roku.

Posiadał on indywidualność niezwykle wszechstronną. Gdyby wśród jego czytelników i przyjaciół urządzić ankietę: *Kim był?* głosy podzieliłyby się fantastycznie. Uważano go za teoretyka medycyny zakonspirowanego w publicyście politycznym, za religologa, pedagoga, muzykologa — wreszcie

*) Śp. Wiktor Popławski (1889—1935) był jedynym synem znakomitego publicysty Jana Ludwika Popławskiego, zmarłego w 1908 roku.

za brawurowego felietonistę, lekko żonglującego ociężałymi ideologiami.

Natomiast mało ludzi orzekłoby, że był *poetą*. A tutaj właśnie tkwi prawda i leży klucz do zrozumienia bogatej — aż niepokojącej bogactwem — wszechstronnej jego natury.

Ten rasowy poeta żył jednocześnie na kilku poziomach, bo marzenia miały dla niego wagę czynów, a postęпки niekiedy lekceważył, niby urojenia. Wskutek tego posiadał kilka rzeczywistości współrzędnych, nie zawsze do pary z jego teraźniejszością bieżącą.

Słyszając, z jaką lekkością Wiktor Popławski przenosił się z tematu na temat, jak śmiało przebywał — karkołomnym lotem myślowym — zagadnienia przepaściste albo niezgłębione, żartowałem, że chyba ma u pantofli skrzydła z sandałów Merkurego. On na to z pasją (a był to dialektyk wyborny!) wyrzekał się Olimpu, Parnasu, zwłaszcza zaś wszystkich Muz.

Jednak, gdy przeglądam jego poezję, które przed laty mi powierzył*), widzę, że nie zwietrzały z czasem, a wiem, że tylko *prawda konserwuje wiersze*.

*) Część z nich weszła do pośmiertnego tomu poezyj pt. „Ja i świat“ wydanego u Mortkowicza z przedmową Antoniego Potockiego.

Przeczucie niemal prorocze brzmi na przykład w takiej zwrotce:

*Smutku pochmurnych ranków i dżdżystych
[południ,*

*Tragedio lat przeżyta w jednej chwili —
[placzem...*

*Ty, coś mógł być kolumną, bijącą najcudniej
W stropy niebios, a jesteś westchnieniem
[tułaczem...*

Pamiętam jedno popołudnie, przeplatane słońcem i siąpiącym deszczem, gdy młody głos ledwo znanego mi wówczas Wiktora zatrzymał mnie w Alei Jerozolimskiej pod domem, gdzie jego ojciec leżał, zmożony już śmiertelną chorobą.

Odnowiliśmy naszą lwowską znajomość, która szybko zmieniła się w zażyłość, a następnie w przyjaźń.

Już wtenczas Wiktor Popławski był autorem tomu wierszy pt. „Lato“. Nigdy nie wydał tych swoich pierwocin słonecznych, pachnących lipcem i pierwszą miłością — bo były pierwocinami. Wybuchały samokrytycyzm estetyczny kazał je autorowi zniszczyć, tak jak następnie radził mu zbyt długo więzić w szufladach — mimo protestu przyjaciół — poezje późniejsze znacznie wyższej wartości.

Jak po mistrzowsku Popławski władał formą, świadczy jego przedziwny przekład „Zwiastowania“ Rilkego:

*... Me słowa światło ziemi niosą,
Są kwiatem jej i śpiewem.
Ja światem jestem, ranną rosą,
Ale Ty — jesteś drzewem...*

*Oto się wkrótce cud dokona,
Słowo się stanie ciałem.
O Mario, bądź mi pozdrowiona,
Nie darmo przyleciałem.*

*O Mario, ARKO DAWIDOWA,
Nie wiem, jak los Twój zwie się,
Gubią się w Tobie moje słowa,
Jak wiatr się gubi w lesie.*

*Lecz głos mój z niebem Cię jednoczy,
Jam gorejącym krzewem...
Słuchaj: Bóg spojrzal w moje oczy,
Ale Ty jesteś drzewem.*

Trudno o prostsze oddanie w ludzkich słowach — niewysłowionej chwili Zwiastowania, pełnej tajemnic, niezgłębianych nawet dla anioła. Poeta ujął ten cud trzepotem skrzydlatych wyrazów, migotem uczuć nieuchwytnych a zachwycających, przy czym nie zamknął ich w sztywny sens, ale kazał im przelewać się *fugą*.

Poezja nie przesłaniała jednak Wiktorowi codzienności: przeciwnie, był jej obserwatorem bystrym. W Wyszku, gdzie mieszkał podczas okupacji niemieckiej jako nauczyciel, powstały jego „Kartki“. Były to na wpół pamiętniki, na wpół poematy prozą, pełne przy tym błysków humoru.

Oto przykład:

Klasa. Przez otwarte okna dolatuje gwar orientalny, plamy słońca pelzają po brudnej podłodze. Czterdzieści i sześć par różnokolorowych paciorek, umieszczonych w makówkach, spogląda nieufnie ku twojej nauczycielskiej wyniosłości. Jedna z makówek stęka:

— Chińczycy zajmują się piciem herbaty... Są oni z warkoczami, jedzą nieświeże jajka, oni palą opium...

Słoneczne plamy pełzną powoli w głąb klasy.

— Proszę pana nauczyciela, ludzie mówią, że Ruski już jest w lesie!

(Mylisz się przyjacielu, o, jak bardzo się mylisz! W lesie jest wojsko demonów, których król Semasotech prowadzi wojnę z królem czarnych Arabów, Musawassą, o pierścień błękitny króla Heth.)

— Chińczycy, Chińczycy — stęka dalej makówka — są poganie. Modlą się oni do

smoka i do bożka Buddy. Najwięcej w Tybecie, gdzie jest chiński papież. On jest małe dziecko, jego nikt nie widział.

(Ożywasz się. Chłodny, świeży oddech gór. Na krawędzi czerwonej skały zawisł klasztor Such-Zen. Wykrzywione jego dachy są złote. Pan, najdoskonalszy Pan, jest tu czczony. Wąskie usta mnichów szepczą odwieczne wersety, a żółte, pomarszczone twarze kiwają się w takt klekotu paciorek...)

— Modlą się Chińczycy na młynku! — z triumfem wykrzykuje makówka.

Harmonizuje z tym przepysznym wnętrzem małomiasteczkowej uczelni inna, również autentyczna — migawka z Wyszkowa (w czasach wielkiej wojny).

Sabbath... Z trzaskiem zamykają się żaluzje sklepów. Z koślawych domków wysuwają się długopole postacie, niosące pod pachą rytualne zawiniątka. Obok wyniosłych, osiwiąłych w boju geszeftowym — mężów brodatych, kroczą siedmioletni uczeni, dźwigający olbrzymie, w skórę oprawne foliały... Duży różowy budynek pochłania ich wszystkich. W wysokich jego oknach migoce światło łojówek; poruszają się na ich tle olbrzymie cienie, kołysząc się miarowo w tył i naprzód...

Gromadka młodych tubylców, z nieodzownymi palcami w nosach, wspina się na gzymsy okien, głośno czyniąc światłe komentarze.

O, gromadko moja! Cały poranek i południe zmarnowałaś w szkole, ucząc się rzeczy, jeśli nie z tego świata, to przynajmniej nie z tego miasteczka. Zaś owi młodzi z folialami uczeni — czytali przez ten czas budujące traktaty o istocie ducha. Po południu graliście w foot balla, paliliście lichy tytoń, owinięty w strzępy antysemitycznej gazety, zaś owi młodzi uczeni nieustannie ćwiczyli się w mądrości nabożnej... A jednak gromadko moja, praktycznie wychowana, gdy lat dojdiesz męskich — wodzić cię będzie za nos pierwszy lepszy z tych filozofów w tałesie...

Sięgam po inną Kartkę. Tytuł: „Boczna droga“.

Był czas, gdyś prowadziła do lasu... Dziś, drogo moja, nie prowadzisz do nikąd. Za dotknięciem różdżki (och, lepiej zwać cię różdżką niż toporem!) szybko zniknął las. Stare dęby i długie, bez końca długie chojary jechały poważnie do modrej przystani; towarzyszyły im całe rodziny drzew młodych i płochych. Las odchodził. A nad rzeką oczekiwały go delegacje obu narodów, za-

mieszkujących naszą ziemię. Chłopi na pożegnanie podejmowali drzewiny pod kolana i pomagali im wsiadać do rzeki, zaś uczeni talmudyści opisywali te smutne wydarzenia w małych zatłuszczonych książeczkach...

Gdyby kto chciał z tych szkiców odtworzyć sobie portret psychiczny autora, to by go sobie wyimaginował zbyt jednostronnie. Wiktor Popławski — jak każdy rasowy Polak — był dwoisty. Umiał duszę anielską mieścić przedziwnie w „czerepie rubasznym“, tak iż ani anielskość nie traciła na tym swej bieli, ani rubaszość swej jędrnej kolorowości.

Miał prawdziwie szlachecki humor, apetyt, liberalizm — i „tęskność“. Te wszystkie cechy doprowadzał przy wrodzonej werwie aż do paradoksalnych rozmiarów. Zręczność sofisty służyła mu przy suto zastawionym stole do wyszydzania kanonów medycyny, której w dni postne wierzył ślepo.

Tak samo rozsmakowywał się pełną gębą w utopiach. Brał wtenczas w ryzy i naumyślnie stępiał wrodzony swój — ostrzejszy od brzytwy krytycyzm. Potem, oczywiście, następowały u niego filozoficzne rekolekcje.

Subtelność duszy przy bujności instynktów cielesnych otwierała mu wszystkie

dziedziny piśmiennictwa. Miał dar podchwytowania rozmów charakterystycznych — jak nikt i umiał je powtarzać z precyzją wytrawnego aktora. Zdawało się, że wystarczy mu palcem ruszyć, żeby komedię polską zepchnąć z martwego punktu na tory nowe, a związane uczuciowo z całą naszą wielką przeszłością.

Nie zrobił tego. Coś mu kneblowało usta, ilekroć sam zostawał przy swoim „warsztacie“. Zresztą uciekał od niego zaraz — do muzyki i jej oddawał swój czas, pod względem uzewnętrznień twórczych... bezpłodnie.

Bo choć posiadał absolutny słuch, brakowało mu wytrwania w pracy, by stać się wirtuozem czy też kompozytorem. A może był to znowu ten sam brak wiary w siebie, który kazał mu spalić własne wiersze?

Mam przekonanie (choć to brzmi jak paradoks), że wyrobiłby się na wielkiego poetę raczej w epoce poezji *śpiewanej* niż *te-
raźniejszej* — „pod drukowanej litery urzędem“...

Jak starodawny bard czy skald bywał niezbędną ozdobą uczt i bitew, tak Popławskiemu trzeba było rozgwaru wspólnych biesiad i ostrych rozpraw polemicznych, podczas których *improwizował*.

Pod koniec młodego życia dużo przemy-
ślał o śmierci, jakby oswajając się z nią.
Niechaj więc nocna rozmowa poety z jej wi-
dmem zakończy te wspomnienia:

*Jesteś jak sen. Rozmawiam z tobą nieraz
[nocą.*

*Rozumiemy się dobrze. Wiem, nie jesteś
[zła...*

*Skrzydła twoje są ciche, oczy nie migocą;
Jesteś szara, podłużna, niby wielka ćma.*

*Czasem się ciebie boję, lecz tylko przez
[chwilę...*

*Wybacz mi: trochę straszno lecieć z tobą już
Tam, dokąd nieopatrznie wysłało się tyle
Książek swoich przyjaciół i dobrych ich
[dusz...*

*Uspokajasz mię wtedy, bym się nadaremno
Nie bał... (Lubię twój ładny, wyrazisty gest!)
Mówisz, że w chwilach szczęścia zawsze byłeś
[ze mną,*

*A zabierzesz mię wtedy, gdy — zwątpię, żeś
[jest...*

W KAWIARNI
NA ULICY I W DOMU
W TEATRZE
W KONSTANCINIE
POZA CZASEM
OD BOŻYSZCZA DO SMĘTKA

W kawiarni

W Kawiarni Udziałowej (przed wojną) biegł wzdłuż ścian korowód obrazków osadzonych w mahoniowej boazerii. Przedstawiały głównie rusalki, schnące w seledynowym świetle nad bagienkami śpiącymi pod kożuszkami lepkich nenufarów. Były to kwiaty herbowe secesji, wtenczas panującej.

Falistym, jak ich łodygi, tremolandem tęskniło pod smyczkami „Sorrento“, a po nim modnisia „Matchiche“ kokietowała uszy jakby podrygiem jędrnych łydek.

Chodziło się tam na pół czarnej z koniakiem Szustowa. Taka mieszanka dobrze noliwiała języki. Najobrotniej meł swoim Mieczysław Jastrzębiec Srokowski, czarniawy chudzielec, z nosem odpowiednim do nazwiska i z drapieżnymi po ptasiemu oczami.

Zimą i latem chadzał w czarnej pelerynie, którą w kawiarni spuszczał z ramion tak, iż mu koło bioder tworzyła wronie gniazdo.

Srokowski miał przezwisko „Hetmańska detyna“, bo po dziesiątej wódce wymieniał

jak z nut jedenaście wsi, którymi władał jego nieboszczyk ojciec na Podolu. I to były już tylko *resztki* hetmańskiej fortuny jakiegoś trójbuńczucznego przodka Srokowskich, hetmana, zagubionego przez oficjalnych historyków pomiędzy Walezjuszem a Korybutem. Na Mieczysława Srokowskiego spadła dziedzictwem po praszczurze już tylko nazwa „Hetmańskiej detyny“, bo tak go z ruska niańki w niemowlęctwie podobno na Podolu zwały.

Po fantastycznie wielkiej buławie odziedziczył Srokowski naprawdę wielką fantazję. Był skaldem własnych marzeń i mógł pod tym względem rywalizować nawet z Władysławem Reymontem, jeszcze bardziej od niego niedoścignionym w improwizacjach, które snuł, gładząc jasne włosy na głowie, jak struny na instrumencie.

Pewnego dnia, jesienią, Srokowski przyszedł do „Udziałowej“ o wieczornym zmierzchu na pierwsze śniadanie po nieprzespanej — oczywiście — nocy.

Był podekscytowany, kłął szarą godzinę, porę podobno zabójczą dla wrażliwych nerwów. Przysiadłszy się do naszego stolika, ział wstrętem do współczesnych i do siebie, najprzód prozą, a potem i rymami, gdyż wła-

śnie napisał był znamienity wiersz „Kawiarnia“ w nastroju samobiczowniczym.

Zabłysła jak na zamówienie elektryczność, kiedy wygłaszał z szubieniczną swadą:

*Szarą się drogą myśli nasze wloką,
Świat zakrzepł w smutku, pełzną kłęby dymu,
Dźwięk szkła, muzyka, gwar słów, wciąż do
rymu*

Gwarzą o nudzie... Łzą się słoni oko.

*Smętni rycerze strwoniliśmy dusze,
Błysk ani jeden w myślach się nie żarzy,
Gruzy zostały nam z dawnych ołtarzy,
Szpady w zastawie, w błocie pióropusze!*

*Do zasług, ani do złego uczynku
Już się spróchniała nie podniesie woła:
Lutnie wziął handlarz, u pachciarza rola,
Rycerskie bardy zwolna gnijem w szynku.*

*O, jaka cicha, samotna męczarnia...
Bładość lic naszych zdradził lamp blask złoty.
Do czoł nam lepną spojrzenia hołoty,
Polip nalogu zadławia... kawiarnia...*

W chwilę potem wszedł wysoki mężczyzna ze sporym wąsem i czarną brodą w klin. Od rusalek, schnących w seledynie i od chwiejących się pod nimi „pleureuses“ strusich — blada twarz przybysza odcinała się obco. Gdy zdjął kapelusz, poznałem, że to

Stefan Żeromski, chociaż go jeszcze osobiście nie znałem.

Na jego widok Srokowski jak ptak z gniazda wyskoczył z peleryny, która została na krześle. Usiedli we dwóch w kącie, żywo rozmawiając.

Ogarnęło mnie wzruszenie. Ludzie z książek Żeromskiego byli mi bliżsi od niejednego z żywych. Stała mi w pamięci Joasia z „Ludzi bezdomnych“, jej odwiedziny w domu rodzinnym, będącym w cudzych rękach, jej płacz na wiejskim cmentarzu i przejmujące prostotą wyznanie:

— *...wtenczas matka moja przyszła do mnie pod ziemią...*

A tam, przy ich stoliku, rozmowa przechodziła w zapalczywe „tokowanie“. Mieczek wpadł w ferwor. Zmiarkowałem z odgłosów, że zapowiada komuś walkę do upadłego. Nagle powrócił do nas w paru susach, wpił palce w ramię Wiktora Popławskiego (zwanego przez nas „Je sais tout“ dla niewyczerpanej erudycji) i szepnął przejmująco:

— Popławski, tyś Jastrzębiec... Jaką to my mamy dewizę herbową? Tak mi łeb skołatali, że wszystko z niego wylatuje.

— „Szponami i dziobem!“ — odszepnął uroczyście Wicio zarumieniony poczuciem odpowiedzialności.

— Szponami i dziobem! — huknął na całą „Udziałową” Srokowski, biegnąc z powrotem do Żeromskiego.

Po chwili znowu wyrósł — za moimi tym razem plecami — szepcząc z mimowolnym demonizmem:

— Chodź! Chce cię poznać...

Naturalnie poszedłem natychmiast, przejęty do głębi. Pamiętam, jakby to było wczoraj, życzliwe oczy Żeromskiego, twarz tyle samo dumną, co nieśmiałą i coś tak autentycznie hetmańskiego w postaci, że Mieczek, chociaż sam „Hetmańska detyna”, wyglądał przy nim tylko na lisowczyka w przebraniu nowoczesnym.

Rozmowy między nami właściwie nie było, bo Srokowski gadał za trzech — o Podolu i o tym, jak konno Dniestr przepływał w jakiejś miłosnej awanturze.

Znałem z grubsza tę przygodę, lecz dzięki obecności Żeromskiego słuchało jej się jak nowej. Upodobanie, bijące z jego twarzy, podniecało Mieczka, więc coraz lepsze do-twarzzał szczegóły przez półtorej godziny...

Miałem dwadzieścia lat... Byłem tak uradowany poznaniem Żeromskiego, że resztę nocy przegadałem z kolegami niemal wyłącznie o nim. Nowość ówczesna, „Duma o hetmanie”, dostarczyła aktualnego tematu.

Koczując po barach, które niedawno weszły były w modę, zabrnęliśmy prawem kontrastu na dłuższy postój do staroświeckiej knajpki na rogu Ordynackiej i Nowego Światu. Jej właścicielka, pani Czosnowska, sławna eksprimadonna, okazałej tuszy, witała nas z dobrotliwym majestatem przy suto zastawionym bufecie.

Srokowski wtajemniczał ją długo w nasze stepowe tęsknoty i wstręt do życia miejskiego...

— Ech, Podole ty moje serdeczne! Ma pani kwaśne ogórki? — zakończył wreszcie Mieczek, gdyśmy się przenieśli z bufetu na „wielką salę“, pustą jak step i dla nas specjalnie oświetloną.

Długo tam rozbrzmiewały dyskusje i wiersze.

Nikt nie przeczuwał, że za jakieś dziesięć lat tu właśnie będzie Ministerstwo Sztuki i Kultury, z moim biurkiem nieopodal bufetu śp. Czosnowskiej.

Gdy wracając o świcie mijaliśmy zamkniętą „Udziałową“, Srokowski gestem *hetmańskim* odrzucił pelerynę z ramienia, wskazał na siniejące za Wisłą, a widne z Alei Jerozolimskiej lasy i jęknął:

— Ziemia!

Post scriptum

Postać Mieczysława Srokowskiego pociągała swą niezwykłością wielu współczesnych mu pisarzy. Włodzimierz Perzyński z niego podobno modelował tytułowego bohatera w powieści „Sławny człowiek“. Mam powody przypuszczać, że również i Żeromski dla swego Pavoncella z „Pomyłek“ zaczerpnął niektóre rysy Srokowskiego, zwłaszcza w opisach artystycznego koczownictwa po kawiarniach.

Na ulicy i w domu

W czasie gdy otrzymanie nagrody Nobla przez Stefana Żeromskiego wydawało się pewne i kiedy gazety europejskie rozpisywały się o nim, przyjechał do Warszawy specjalnie dla kontaktu z nim krytyk szwedzki, profesor Böök.

Dwunastego kwietnia 1922 roku, wróciwszy wieczorem do domu, zobaczyłem na stole „Wiatr od morza“ ze wzruszającą dedykacją i list od Żeromskiego treści następującej:

W myśl łaskawego przyrzeczenia Pana, iż nie sprawiłaby Mu przykrości przejazdka do Wilanowa z profesorem Böök'iem, śmiem prosić o pofatygowanie się jutro, w poniedziałek — niestety, o godzinie 9 min. 30 rano. Automobil o tej godzinie będzie stał przed bramą domu Ordynacka 6 i zawiezie Pana do hotelu Europejskiego, gdzie pod numerem 115 mieszka prof. Böök.

Pan Skórewicz ofiarował się oprowadzić p. Bööka po zamku, oraz zawiadomić dyrektora galerii w Wilanowie, że panowie przyjadziecie. Gdyby Szan. Panu starczyło

czasu i chęci do zawiezienia p. Bööka potem do zamku i oddania go w ręce tamecznych dygnitarzy, byłoby to cudownie, ale nie wiem, czy to nie będzie wyzyskiem sił Drogiego Pana?

Ja sam nie mogę jechać automobilem, gdyż choruję potem i gorączkuję. — Dziękuję też Szan. Panu za wybawienie mnie z choroby. Pozwoliłem sobie zostawić dziś książkę moją z prośbą o przeczytanie, — a teraz łączę wyrazy najszczerzego szacunku i pozdrowienia

Sługa i brat

S. Żeromski.

Lubię wróżyć sobie z nieznanomych książek: nazywam to — braniem książki za puls. Otworzyłem na chybił trafił „Wiatr od morza“ i przeczytałem na str. 248:

...gościńcu gdański, strzelista i równa drogo! — ty wiesz, ile na tobie twardych było kamieni — i jak ściska serce twój widok. Podspodni lęk wił się nad tobą chylkiem, niewidokiem, — wiekuisty szatan dusz, nie mający kształtu, nie posiadający figury swej, podobny do kłębow dymu.

Takie „Wiatr od morza“ powiedział mi hasło wróżebne...

Dużą część nocy spędziłem nad tą książką. Olbrzymi skrót tragedii Słowiańszczyzny,

te ginące *plemiona* i powstające *narody* — to wszystko porywało mnie zagadkową potęgą. Zrozumiałem, że takim tematom *musiał* Żeromski dać podwalinę metafizyczną, że *musiał* spostrzec w ich zawiłym splocie wpływy nadprzyrodzone, z ich zaledwie uchwytną — dla śmiertelnych — grą.

Smutek z „Wiatru od morza“ obudził w mojej pamięci wszystkie momenty *diaboliczne* i niebiańskie, zawarte u Żeromskiego od „Róży“ do „Charitas“.

Nazajutrz, jeszcze przed wyznaczoną w liście godziną, wyszedłem z domu i zacząłem się przechadzać pod Biblioteką Krasińskich w oczekiwaniu na zapowiadziany samochód. Lecz zamiast niego zjawił się sam Żeromski.

— Samochód się popsuł — rzekł do mnie — jednak nie zwalniam pana z obietnicy. Musi pan złożyć wizytę profesorowi Böököwi w hotelu. Czy pan da wiarę, że *nikt* z literatów warszawskich dotąd go nie odwiedził, nawet ci, którzy rozpisywali się o nim w gazetach! Przesiedzimy u pana z półtorej godziny, a w południe pójdziemy do profesora razem.

Byłem rad z tego, bo więcej mi się uśmiechało spędzenie ranka z Żeromskim, niż z nieznanym Szwedem przy nieuchronnym *przelamywaniu lodów*.

Żeromski w lot wyczytał tę myśl z mojej twarzy, bo zaczął zapewniać, że p. Böök to nie żadna uroczysta... figura, ale gaduła i wyborny kompan.

Krażyliśmy czas jakiś po zacisznym Okólniku. Była zmienna pogoda: to drobnym deszczem popłakująca, to znów ni w pięć ni w dziewięć jakaś rozsloneczniona.

Żeromski z widoczną lubością poddawał się jej drażniącemu urokowi i powiedział parę razy, na wpół do siebie:

— Przedwiośnie...

Nie wiedziałem, że taki będzie tytuł dzieła, które wtedy nosił w sobie.

Gdyśmy zasiedli w moim mieszkaniu, Żeromski zaznaczył, że ja właśnie mam specjalne obowiązki wobec Szwedów jako tłumacz „Karolinerny“ Heidenstama.

Pierwszy raz usłyszałem z ust Żeromskiego wzmiankę o tej epopei rycerskiej Karola Dwunastego, którą posłałem mu jeszcze w roku 1918, oświadczając, że to są szwedzkie *Popioły*.

Nie bez tryumfu powtórzyłem przekonanie, że naród, który w swojej „Karolinernie“, w jej tragicznym bohaterstwie mógł się rozmiłować, musi też odczuć utwory Żeromskiego.

— Będzie pan wkrótce kolegował z Heidenstamem jako laureat Nobla, więc się sprawdziły pomyślne przewidywania.

Rozmawialiśmy następnie o tym, że Karol Dwunasty był *ostatnim wikingiem* normandzkim, już schyłkowym, bo chciał założyć w wieku osiemnastym *imperium*, tak jak dawni wikingowie zakładali w średniowieczu *księstwa*. I w nim jednak, jak i w tamtych, wyraził się *pęd do niepodobieństw*, realizowanych trzeźwo i z konsekwencją żelazną, chociaż już bezpłodnie.

Ostatni wiking... A właśnie obok nas leżała książka z *łodzią wikingów* na okładce, leżał „Wiatr od morza“, pasjonujący całą swojską i zagraniczną prasę, prócz bolszewickiej „l'Europe nouvelle“ i — jak się później okazało — właśnie profesora Bööka, który po wyjeździe z Warszawy *zniecka* zmienił front i zstąpił z hymnów pochwalnych do zapalczywych przeciwko Żeromskiemu zarzutów za „brudny — jak się odważył wyrazić — antygermanizm“.

Rozmawialiśmy potem o dwóch prądach chrystianizacji, tak głęboko przeciwstawionych sobie w przedziwnej książce Żeromskiego: o chrystianizacji *mieczem* krzyżackim i o chrystianizacji *krzyżem* męczeńskim świętego Wojciecha.

Gdy powiedziałem Żeromskiemu, że on właśnie dał najpiękniejszy w literaturze świata opis Mszy, to jego wyrazistej twarzy nie powlókł niesmak, jak zwykle przy

pochwałach mówionych mu wręcz, lecz w oczach jego nawet przemknęło wzruszenie.

Rozmowa przerzucała się następnie w różne strony, jakby jakimiś zmiennymi podmuchami wiatru roznoszona. Z ofiary świętego Wojciecha, opisaney w „Wietrze od morza“, przeszła na temat pokrewny, na „Emmaus“ Rembrandta, ulubiony przez Żeromskiego obraz, gdzie dwaj uczniowie o twarzach szyprów bałtyckich poznają Chrystusa dopiero w łamaniu chleba, chociaż Go nie poznali z Jego nauk.

Tylko wrodzony Żeromskiemu dar, który od dawna w nim wykrył i znakomicie nazwał Antoni Potocki, tylko owo *czujące wiedzenie*, mogło odsłonić przed autorem opisu Mszy świętego Wojciecha całą głębię mistyczną *Sakramentu Ciała i Krwi* — w prostym łamaniu chleba.

Czas mknął. Trzeba było iść do szwedzkiego profesora. Nie zastaliśmy go w hotelu. Złożyłem bilet zamiast wizyty, nie żywiąc za to żadnej urazy do losu.

Jak wiadomo, niedaleka przyszłość wykazała, iż Żeromski nagrody szwedzkiej nie otrzyma... Zapłacił „Noblem“ za Mszę świętego Wojciecha i za napiętnowanie rzezi Słowian przez Niemców pod Gdańskiem.

W teatrze

W marcu 1924 roku napisał mi Żeromski z Włoch:

„...Jaki bym był wdzięczny Panu, gdyby mi raczył donieść w paru wyrazach, czy Teatr Rozmaitości (Narodowy) będzie otwarty 3 Maja i czy co słyhać z moją sztuką pt. „Przepióreczka“.

Jestem tutaj) już dziesięć dni, ale mało doznałem polepszenia na zdrowiu. Wciąż katar, chrzypota, duszność...*

Niemców tu taka masa, jakby wszyscy wyemigrowali ze swych pieleszy... Nawet Hauptman wyjada pomarańcze i makaron. Panie Stanisławie, pod błogosławieństwem proszę o parę słów wiadomości...

Odpisałem, że Teatr Narodowy nie „wykluje się“, niestety, na maj ze swej skorupy pożyczonej od operetki po pożarze. A co do „Przepióreczki“, to jest ona w pełnych próbach... ale dopiero „analitycznych“ u Oster-

*) W Santa Margherita Ligure.

wy, więc nie zobaczy sceny przed jakimś październikiem.

Czas pokazał, że byłem optymistą: „Przepióreczkę“ wystawiliśmy dopiero w lutym 1925 roku.

Pamiętam nastrój niezwykle podczas jednej z końcowych prób, tak zwanych *przegadywek* odbywanych w gabinecie dyrektorskim Osterwy..., bo na scenie — z tabunem malarzy i elektrotechników — szalał Drabik, starając się wydobyć alchemią reflektorów czyste złoto słoneczne za oknami szkoły Smugonia — Jaracza.

Nastała podczas tej próby chwila niewymownego wzruszenia. Już odczuto przedziwny urok „Przepióreczki“ i już po sceptycyzmie nadchodził — równie zatwardziały — entuzjizm aktorski.

Trzy pokolenia artystów bratały się tym wzruszeniem z wielkim pisarzem polskim.

To była najprawdziwsza, chociaż nieoficjalna, prapremiera „Przepióreczki“. Mistrz Chmieliński, wyborny rysownik, szkicował wtedy cichaczem twarz Żeromskiego — na denku pudła do gilz. Udało mu się uchwycić zasluchanie twórcy w piękno własnego dzieła.

Mam dotąd tę ostatnią podobiznę Żeromskiego z roku jego śmierci.

*

W początku marca 1924 roku przyniesiono mi od Żeromskiego ogromną pakę rękopisów, zawierających sztuki nadesłane na konkurs Teatru Narodowego. Żeromski jako jeden z sędziów podjął się był ich oceny. Niestety, nie znalazłem na żadnym egzemplarzu jego opinii.

W jakiś czas później list z Santa Margherita Ligure rzecz wyjaśnił. Zdrowie Żeromskiego pogorszyło się tak, iż musiał wyjazd na południe przyspieszyć. Sam pisze o tym w ten sposób:

Wyjeżdżałem tak nagle z Warszawy, że nie mogłem się z Panem pożegnać, ani zwrócić utworów, przysyłanych na konkurs. Polecilem jednak służącej, aby rękopisy do Pana odniosła... Tu zimno sakramencie, choć niby słońce świeci...

Mało kto wie, jak głęboko interesował się Żeromski teatrem w ogóle, a Teatrem Narodowym w szczególności. W układaniu planów repertuaru brał żywy udział, nie szczędząc konkretnych rad. Zmysł społeczny podniecał go do utrwalenia sceny narodowej jako placówki przeznaczonej dla szerokich warstw inteligencji polskiej.

Poza tym jako autor dramatyczny dbał wielce o scenę skupiającą najlepszych aktorów. Była dla niego ponętnym polem pracy

i trybuną do wpływania na ogół inną jeszcze drogą, niż przez książki.

W korespondencji z p. Czarnockim znajduje się świadectwo bezpośrednie, jak ważne znaczenie miało dla Żeromskiego wystawienie w teatrze „Przepióreczki“ i jak się troszczył o termin premiery.

Pisząc, że go skromna nagroda imienia Orzeszkowej „podratowała“ moralnie po wydatkach w Santa Margherita Ligure, Żeromski oznajmia dnia 22 maja 1924 roku:

...Głównie jednak kieruję się teraz w stronę teatru, gdzie na otwarciu Teatru Narodowego we wrześniu będzie grana moja komedia „Uciekła mi przepióreczka w proso“, jako trzeci utwór — (Mazepa, Geldhab i Przepióreczka). Jeżeli teraz nie zdobędę teatru, to już kaput! A zdobycie teatru to nie tylko wyjście ze starej skóry, ale i możność wyjazdu na zimę na południe. W nędznym mieszkaniu na Wspólnej, w ciemnym podwórzu, w niskim pokoiku, w influency, powtarzającej się raz wraz, nie mam siły wysiedzieć nowej zimy.

I dalej w tejże korespondencji:

Jestem teraz zapracowany nad nową powieścią („Przedwiośnie“ — przyp.). Nadto na jesieni mają w teatrze Narodowym wystawić moją sztukę. Te dwa zdarzenia

emocjonują mnie silnie. Ale zdrowie moje jest w złym stanie. Praca mi ciąży, a chcę koniecznie powieść wykończyć, gdyż bardzo złe czasy naszły na naszą literaturę. Nikt, literalnie nikt książek nie kupuje, wydania zalegają stosami, a nawet idą do kosztów na ulicach. Ja może jestem jeden z niewielu, który jeszcze w tych kosztach nie figuruję. Ale mój obrotny wydawca nie jest już moim dłużnikiem, lecz bankierem, udzielającym mi zaliczek.

Zeromski, nawykły do walki o byt, był po ojcowsku stroskany przez całe życie o dzieci. Zasłaniał je sercem jak skrzydłami i przed niedolą świata, i przed zgrozą zaświata.

Uzależniony chorobą od klimatu, zwątlął do tego stopnia, że jazda samochodem już naruszała mu tchawicę, wydobywał ze sterczącego ciała niesłychaną energię i napędzał zarobki swym wydawcom, gdy jemu samemu starczało zaledwie na skracane brakiem pieniędzy wyjazdy dla zdrowia do stacyj klimatycznych i na domek w Konstancinie, którego leśne powietrze było mu niezbędne dla płuc.

W Warszawie sławny na całym świecie pisarz polski miał po inteligencku niehigieniczne trzyciupkowe mieszkanko. Przedostał — przed Zamkiem i cmentarzem — adres

Żeromskiego brzmiał: Ulica Wspólna, od podwórza...

Wśród jego niepowodzeń finansowych znamienne są zwłaszcza dzieje „Dziejów grzechu“, wydrukowanych w kopenhaskim piśmie „Politiken“ po duńsku, a potem odprzedanych przez tenże dziennik firmie „Pios“, wydanych zaś ogółem w piętnastu tysiącach egzemplarzy.

Szczyt „hucpy“ wydawniczej stanowi ozdobienie duńskiego przekładu powieści napisem „autorisret oversaettelse“, gdy autorowi, dopominającemu się o swoje prawa, odmówiono wręcz wszelkiego honorarium, chociaż o autoryzację wcale go nie pytano...

Nieraz mówił mi o tym Żeromski z oburzeniem, któremu dał równie dobitny wyraz w liście do Czarnockiego z Konstancina dnia 2 października 1923 roku [ogłoszonym przez Lorentowicza w „Wiad. Literackich“]. Najcharakterystyczniejsze zdania brzmią tak:

Tutejsi literaci, a jeden z nich prawnik) poduszczą mnie, żeby wobec tak krzywdzącej niesprawiedliwości wytoczyć proces owej „Politiken“. Otóż ja chciałem zapytać się Szanownego Pana, czy to zrobić. Jest*

*) Prawdopodobnie Miriam - Przesmycki, prezes i założyciel Towarzystwa Ochrony Prawa Autorskiego w Polsce. Przyp. S. M.

to, zdaje się, pismo Brandesa i jakichś mowowych żydów. Mogą się zemścić na mnie w sposób im wiadomy. Z drugiej jednak strony taka jawna kradzież! Żyje się tutaj teraz jak na płocie, pieniądz wciąż spada i jeżeli nawet książka się rozchodzi, jak „Pomyłki“, to otrzymany po sprzedaży pieniądz nabiera wartości liści jesiennych.

Jak wysoko wznosił się Żeromski ponad zgryźliwe dlań do żywego bieda materialne, świadczy następujące zdarzenie:

W sezonie teatralnym 1924—25 Żeromski spodziewał się, jak już wspominałem, że jego „Przepióreczka“ pójdzie jako trzecia sztuka po Słowackim i Fredrze. Tymczasem, ponieważ „Przepióreczkę“ cyzelowali po reżyserku z ogromną pieczołowitością Osterwa i Mieczysław Limanowski, więc trzecie miejsce w porządku repertuarowym zajął „Don Juan“ Zorrilli w moim spolszczeniu.

Powodzenie tej sztuki, granej przez trzy i pół miesiąca i zdjętej z afisza przy autentycznie przepelnionej widzowni, przeszło wszelkie oczekiwania. Lecz, niestety, godziło w kieszeń Żeromskiego, bo opóźniło premierę „Przepióreczki“, zabierając jej w dodatku najlepsze miesiące sezonu.

Wieluż innych autorów, jeśliby nie skakało za to dyrekcyi do gardła w podobnym

położeniu, to przynajmniej żywiłoby żal do mnie z podwójnego nawet tytułu: jako do kierownika literackiego i — tłumacza „Don Juana“...

Otóż Żeromski — w przedziwnej wielko-
duszości swojej — szczerze podzielał radość, że Teatr Narodowy, któremu nieprzyjaciół nie brakło, utrwala powodzeniem swój byt.

I nie było to tylko milczące dżentelmeńskie panowanie nad sobą, lecz prawdziwe wniknięcie sercem w sytuację i radość ze zwycięstwa narodowej sceny. Żeromski dał temu wyraz publicznie na wiosnę roku 1925, zabrawszy głos w ankiecie „Przeglądu Warszawskiego“ pod redakcją M. Tretera:

Ankieta, choć tak żywotna i potrzebna, jest nieco spóźniona. Wyprzedził ją pewien rodzaj plebiscytu publiczności, która przestrogami krytyków warszawskich nie dała się odstraszyć i odpędzić od podwoi Teatru Narodowego w czasie wystawiania Don Juana Zorrilli.

Sądzę, że publiczność szukała w tej sztuce jakiegoś dla siebie pokarmu duchowego, znalazła tam zagadnienie zbrodni i kary, sąd nad pewnymi problemami, recytację cudnego wiersza Miłaszewskiego i artystyczną wystawę.

Szły i szły do teatru jakieś tłumy nieprzebrane — studenci, szwaczki, kolejarze, tramwajarze, rzemieślnicy, urzędnicy, robotnicy. Teatr Narodowy winien być właśnie świątynią dla takich tłumów. Dla kogoś przecie ta mównica artystyczna być musi. Czyż ma to być tylko miejsce spotkania publiki premierowej, złożonej z ludzi bogatych, ze znudzonych wszytkiem snobów, którym nic już w Europie i Ameryce nie jest dziwne i którzy tuż po premierze czekają na drugą, bardziej pikantną?

Teatr Narodowy winien mieć na oku te szerokie masy inteligencji spracowanej wielkiego miasta, która wszytkiego pożąda umysłem zgłodniałym i sercem spragnionem, a która „nigdzie nie jeżdżając, tu się pasie na dziedzinie, jako w lesie zając“.

Nie znaczy to wcale, że ma on być teatrem popularnym. Teatr Narodowy winien dawać dzieła wielkiego natchnienia, swoje przedewszystkiem, a jeśli swoich nie stanie, obce dzieła geniuszów. Dzieł dramatycznych polskich niebardzo starczy — dzieł dramatycznych polskich, które by nowoczesnego człowieka do teatru siłą niewoliły, a odwracały od obcej rewolucyjnej trucizny...

Stefan Żeromski.

Jak opiekuńczo dbał Żeromski o twórczość literacką innych, niech świadczy jego list do mnie z 21 maja 1925 roku:

...Zwracam się do Szanownego Pana w sprawie p. Żegoty Cięglewicz, który do mnie pisał dwa razy, prosząc o wstawienie do Szanownego Pana i p. Juljusza Osterwy. Chodzi o tłumaczenie Arystofanesa, które Cięglewicz prowadzi stale i chciałby wystawić. Nie liczy on na natychmiastowe wystawienie, lecz na kiedyś tam, kiedyś, — liczy jednak na to, że Teatr Narodowy da mu jakąś sumę, czyli nabędzie to tłumaczenie za parę tysięcy. Niech Szanowny i Drogi Pan raczy się zlitować nad starym grekiem, chorym, zdegradowanym i robi co tylko można! Tłumaczenia Cięglewicza są świetne i wysoce wartościowe, więc należy go poprzeć w biedzie i niedoli.

Przepraszam, że sam nie przychodzę w tej sprawie, ale jestem ciężko chory. Ściskam dłoń Szanownego i Drogiego Pana. Pani ręce całuję.

S. Żeromski.

Niewielu kolegów — pisarzy wyszłoby poza obietnicę poparcia pracy współtowarzysza... W mojej kolekcji z czasów „wielkorządztwa“ w Teatrze Narodowym posia-

dam znaczną ilość listownych ofert z propozycją dzieł własnych... List Żeromskiego w sprawie c u d z e j, i to starego człowieka, jest tam unikatem.

*

Nigdy nie mogę czytać bez wzruszenia tego, co Żeromski napisał o dzieciach w „Między morzu“:

...Czekają na piaskach helskiego wybrzeża stęsknione stopki dzieci, — chłopców i dziewczynek, — nadzieja plemienia, któremu zbójcka napaść sąsiadów przez tyle lat wydzieriała nie tylko wolność, lecz zdrowie... Gdybyż to mieć ręce na pół Polski długie! Gdybyż to mieć siłę Wyrwidęba i wydierać z jej lasów conajzdrowsze drzewa!

Gdyby pobudować tysiąc baraków wzdłuż piasecznicy Helu, na gołym ostrzu jej miecza! Gdybyż to wysypywać rok rocznie tysiąc tysięcy dzieci skarłających w miast zaułkach, w proletarjackich piwnicach, znad ścieków i kanałów, gdzie się ciała nieskalane zakażają zarazami i zbrodniami łotrów starych!

Lecz nie mam rąk na pół Polski długich... Muszę patrzeć, jak pycha bogaczów, spryt kanalii i dorobkiewiczów egoizm,

*wszystko w Polsce zamieniając na kawał,
po staremu wzdłuż i wszerz rozbija się
i hula...*

Tylko ojciec mógł mówić tak jak on — o ojczyźnie. Toteż on właśnie był powołany, żeby dać ojczyźnie poczet jej ojców, jej rodzicieli historycznych w tej bohaterskiej heraldyce twórczego ducha Polski, jaką jest „Wiatr od morza”. Żeromski połączył epos historii Polski z piękną, niby poemat, *epicką* jej geografiją w „Międzymorzu” i w „Puszczy jodłowej”.

On sam jeden zrobił to, co w Szwecji w tej dziedzinie działali razem Werner von Heidenstam i Selma Lagerlöf. On też rzucał na Polskę popularne katechizmy społeczne dla *wiecznych dzieci*, on kładł w zatwardziałe mózgownice zdrowe poglądy na *sno-bizm i postęp*, on siał szczytne myśli, karykaturowane niejednokrotnie w realizacji przez krętaczy lub durniów w skórze ideologów.

Żeromski żywił cześć nie tylko dla tragicznego bohaterstwa Żółkiewskich, ale i dla wielkości prawdziwych mężów stanu. Rzecz znamienna na przykład, że za kanclerzem Zamoyskim, a nie za Samuelem Zborowskim opowiadał się zawsze. Pamiętam, że gdy w Ministerstwie Sztuki i Kultury, z okazji

starań o subwencję dla Teatru Polskiego na wystawienie „Samuela Zborowskiego“, rozmawialiśmy o tej ponętnej dla poetów postaci, Żeromski z jawną odrazą nazwał Zborowskiego szkodnikiem i wichrzycielem ładu państwowego, uznając jego stracenie mieczem kata za słuszne.

Pogląd ten nie brzmiał w jego ustach okrucieństwem czy zawziętością. Wyraziła się w nim ojcowska troska o przyszłość państwa i narodu, zagrożonego rozpętaniem swawoli indywidualnej.

W Konstancinie

Sapiącym „samowarkiem“ kolejki Wilanowskiej jechaliśmy w lecie 1925 roku do Konstancina z wizytą do państwa Żeromskich.

Ilekoć wchodziłem w pobliże wielkiego pisarza, w jego swoistą atmosferę, zawsze ucuwałem radosne wzruszenie. Tym razem w takim nastroju szliśmy we dwoje z Wandzią przez zburzuazowany po stołecznemu borek, podobny do prawdziwych lasów tyle, co esperanto lub żargon do przyrodzonych człowiekowi języków.

Jednak i ten zbiór drzew, obróconych w odźwiernych i „pikolaków“ zażydzonego osiedla, w którym co druga willa trąciła dancingiem, zbiór oszpecony od dołu obrózkami eleganckich płotów, stawał się lasem i to prawdziwym — w górze.

Jak wiszące ogrody legendarnej Semiramidy, tworzyło się tam *wiszące morze* z ciemnozielonych, pokłębionych jak fale — czubów sosnowych wspartych na złotorudych

słupach pni. Błękit nieba przeświecał przez kędzierzawe pióra drzew, przydając im odrobinę koloru pawiego. Na lekkim wietrze chwiały się te drzewo-ptaki.

— Wiesz — powiedziałem do żony — myśmy przecież nigdy nie widzieli Żeromskiego w lesie... Zawsze i zawsze w mieście nie pasującym do niego. Nareszcie dzisiaj...

Wandzia wzruszyła ramionami:

— No, jeśli ty Konstancin uważasz za las, to winszuję.

— Spójrz tylko sama — odpowiedziałem, wskazując na kołyszące się nad nami korony sosnowe podszyte od góry niebem.

W willi Żeromskich przyjęto nas gościnnie w dużym, widnym pokoju wychodzącym na taras czy werandę.

Dochodziły stamtąd dziecinne głosy, nad którymi górował jeden, rzucający komendę. Raz po raz za naszymi plecami ponawiały się energiczne okrzyki. Spostrzegłem, że żona moja ciągle odwraca głowę; podążając za jej spojrzeniem, zauważyłem i ja sporą, może dziewięcioletnią dziewczynkę z ciemną, rozwichrzoną czupryną nad karymi oczami. Musiała mieć na sobie coś czerwonego, gdyż przebiegając ustawicznie werandę, wyglądała jak płomyk.

Żeromski, widząc to nasze milczące zainteresowanie, zawołał:

— Moniko!

Płomyczek zatrzymał się w swojej wędrówce i wionął ku nam, acz z pewnym ociąganiem...

— Moja córka — przedstawił jedynaczkę gospodarz. W jego jasnych i wyrazistych oczach zamigotała duma i rozrzewnienie.

Dziewczynka, odrobiwszy pańszczyzną dygu, jednym piruetem na pięcie zostawiła za sobą cały ten niepotrzebny i nudny świat nieznajomych osób. Rozpłomieniona zabawą duszyczka ani przez chwilę nie musnęła nas swoją uwagą. Tyle, że zajęto jeszcze dwa krzesła jakimiś obcymi figurami. Po chwili mocny głosik znowu rozbrzmiewał władczo wśród świergotu dzieciarni.

Wróciliśmy do przerwanej na tę przelotną chwilę pogawędki. Z tematów, które były poruszane w czasie naszej godzinnej wizyty, został mi w pamięci tylko jeden, dotyczący Włoch. Była mowa o wrażeniach, jakie państwo Żeromscy wywieźli z niedawnej podróży. Następnie rozgawędziliśmy się o faszyzmie, zaledwie wówczas „wypierzonym“.

Mało komu wiadomo, że właśnie dzięki Żeromskiemu ukazało się w Polsce tłumaczenie pierwszej powieści faszystowskiej. Idąc za jego radą, wydałem w redagowanej przez

siebie „Bibliotece Książek Ciekawych“ istotnie ciekawe dzieło Ugo Ojettiego (obecnie już akademika) pod tytułem „Kariera mojego syna“*).

W książce tej przedstawiony jest proces likwidacji komunizmu włoskiego przez faszystów z wyborną ich charakterystyką.

Żeromskiego uderzało w tej książce, że wielkie wstrząsy i przemiany społeczne we Włoszech odbywały się — w przeciwieństwie do innych krajów — na wesoło. Na dowód przypomniął z owej powieści Ojettiego rozgrabianie bławatnego sklepu przez komunistów. Właściciel, utraciwszy w szamotaniu się z napastnikami rękaw od marynarki, wykonywał najrozpaczliwsze gesty jednym ramieniem białym, a drugim czarnym, upodabniając się mimo woli do arlekina z *commedia dell'arte*.

Wszyscy w miasteczku, będącym odcinkiem rewolucyjnego frontu, począwszy od komunistycznych deputowanych, a na mętach ulicznych skończywszy, dążyli do rewolucji, pełnej dowcipów i hulanek, podczas której obdzierani do naga „burzuje“ pokładaliby się ze śmiechu z samych siebie.

*) W oryginale „Mio figlio ferroviere“, czyli dosłownie: „Mój syn kolejarz“. Przekład Natalii Daniłowicz Strzelbickiej.

Po ekspropriacji sklepów, traktowanej jako psikus, „rekwizytorowie“ komunistyczni legli pokotem, zmożeni pijackim snem, a ich chrapanie zagłuszyło nawet turkot samochodów policyjnych z kartaczownicami, na których żandarmeria przybyła, jak przystało w krotchwili — za późno. Ojetti zaznacza, że na ten widok nawet najwięksi reakcyoniści w przeddzień doby faszystowskiej sarkali na marnowanie państwowej benzyny, zaś ograbieni kupcy postanowili samoistnie i bez niczyjej ochrony powetować sobie straty — przez gremialne podniesienie cen w sklepach.

Śmieliśmy się, wspominając opis, w którym burżuazja włoska dzwoniła zębami po kątach własnych siedzib i odpowiadała wszystkim stukającym do drzwi, że jej nie ma w domu. Oczywiście gospodarował pod jej dachem, kto chciał, aż wreszcie odważyła się wysłać na zwiady swoich „synków“, czyli *faszystów*, aby z kolei zagospodarowali się ze śmiechem na ulicy...

Trafny zwłaszcza wydawał się Żeromskiemu pogląd Ojettiego, że Włosi nawet na wrogów patrzą jak na postacie teatralne i że sumienie Włochów nigdy nie przypomina poważnej i mrocznej świątyni, ale raczej słoneczny ogródek przy domu, dokąd zlatują się pyłki kwietne oraz wędrowne słowiki z naj-

dalszego sąsiedztwa. Dzięki tej wrodzonej zdolności rozumienia ludzi, a więc i przebaczenia im, Włosi — według Ojettiego — wydali większą ilość świętych, niż każdy inny naród.

Pochłonięci rozmową, dopiero po dłuższej chwili zauważyliśmy, że pani Żeromska wydaje się nieswoja i milcząca, a w jej oczach kryje się jakby obawa. Na dyskretnie wstawione w tok pogawędki pytanie o zdrowie męża, odpowiedziała uspokajająco, ale z pewnym wysiłkiem i trochę sztuczną pogodą.

Spojrząwszy uważnie na Żeromskiego, dostrzegłem w jego twarzy wzmożone zmizowanie i bladość.

Przyśpieszyliśmy nieco powrót do Warszawy. Przy pożegnaniu Wandzia raz jeszcze podziękowała Żeromskiemu za „Przedwiośnie“, które jej przysłał z dedykacją bardzo wesołą i serdeczną.

— Chciałem, żeby tę książkę o wisusie Baryce przeczytała przede wszystkim pani — powiedział Żeromski — bo...

Nie dokończył zdania słowami, tylko spojrzeniem i dodał:

— Zaraz zawołam córkę, żeby się z państwem pożegnała.

— Niech pan jej nie odrywa od zabawy. Tak jej tam wesoło, że miałyby do nas żal.

Wracaliśmy znajomą drogą pod sosnami, nie przeczuwając, że widzieliśmy Żeromskiego ostatni raz w życiu... A raczej przedostatni, bo w listopadzie oglądaliśmy go na Zamku już w trumnie.

Dzisiaj, po latach, widok tej martwej bladej w jego twarzy i w oczach niejednokrotnie mi się przypomina... I wówczas przychodzą mi na myśl słowa Adama Grzymała-Siedleckiego, że twórczość Żeromskiego to „biała chusta Weroniki, na której się odbiło oblicze tragedii Polski“.

Poza czasem

Kiedy myślę, kim był w swym rdzeniu Żeromski, i kiedy wyobrażam sobie jakieś już — *poza czasem* — z nim spotkanie, tam gdzie się rozmawia tylko myśl w myśl, to uświadamiam sobie, że tym *rdzeniem* istotnym było u Żeromskiego *uczucie rodzicielskie*.

Tak. Serce ojca górowało w nim i wynosiło go — mgmieniami — na takie wyżyny, na których ci, co potrafili być ludziami za ojców, już niemal tajemnicę *synostwa Bożego* pojmują.

I nie tylko widzę to uświęcone tragizmem ojcostwo Żeromskiego w elegii nad synem, równej bólem „Trenom“...

Żeromskiego zmysł wszechojcowski słyszę już dawniej — w targaniu krat Cytadeli, gdy w Czarowicu z „Róży“ łączył z własnymi uczuciami bohaterskie przeżycia niektórych bojowców.

A nawet ten ton słysząc i daleko wcześniej: przecież już w „Ludziach bezdomnych“ Żeromski z młodzieńczą krańcowością stawia

dla wybranych działaczy — ideał *świeckiego* celibatu, ażeby — nie ograniczeni własną rodziną — umieli być ojcami *wszystkim bezdomnym sierotom*.

Żeromski nie poprzestawał na ludziach. Z całej przyrody, nawet od zwierząt i ptaków, dochodziło go bicie rodzicielskich serc, pokrewne temu, które słyhać w „Dumie“ o męczeńskim hetmaństwie Żółkiewskiego... Nawet piaszczyste mierzeje zwał Żeromski *podrzutkami morza*, jakby i one pochodziły z jakiegoś kosmicznego sierocińca.

To samo uczucie rodzicielskie słyhać nawet w pozornym bluźnierstwie, kiedy nieśmiertelnemu niebu odrzuca zrozpaczony ojciec własne tych niebios — lecz tylko dla śmiertelnych wydane — przykazanie: Nie zabijaj!

Wyczuwa się w tragicznych *pomyłkach* Żeromskiego rozpacz Nioby, kiedy ze zgrozą podnosi głowę do nieba, a rękami zasłania przed ciosem śmierci — swoje dzieci.

Od Bożyszczu do Smętka

Ilekróć patrzyłem na wyrazistą, napiętnowaną dostojeństwem cierpienia twarz Stefana Żeromskiego — przychodziło mi na myśl, że ten człowiek musiał wcześniej zaprawić się do natężania wyobraźni i do wyladowania temperamentu przez mózg.

Późniejsze informacje potwierdziły ten domysł. Wedle świadectwa Józefa Kmiecica, starca, mającego zagrodę w tym samym miejscu, gdzie stał przed pożarem dworek rodzinny pisarza — był z panicza Stefana już od dzieciństwa „chudaszek“. I strzelec Gała, który małemu Stefankowi w tychże Ciekotach rękę do strzelby układał, stwierdził również, że „panicz“: „Silny nie był ani duży, ot, taki chłopczyzna... Do strzelby się rwał i do dziewcząt też nie był ostatni“^{*)}.

Skutki wrodzonej słabowitości pogłębiły się zapewne podczas kryzysów rozpaczliwego

^{*)} Z. Krupski „Z ziemi rodzinnej Żeromskiego“, Kurier Warsz. 1935.

niedostatku, kiedy Żeromski szarpał się w *siłach niedoli*.

To wszystko nie pozwalało mu prawdopodobnie „wyżyć się“ na miarę wrodzonego temperamentu. Że jednak nieukocona namiętność wpływa na rozrost wyobraźni, więc może właśnie dzięki temu Żeromski spotęgował w sobie nieocenioną dla poety zdolność orientowania się w stanach obsesjonalnych, tak samo własnych, jak cudzych.

Stąd też zapewne doszła u niego do niepospolitego rozwoju intuicyjna znajomość psychologii przestępców przeżywających również swoje czyny w wyobraźni, ale już wstecz, jako *dzieje grzechu*.

Po zrozumieniu *ofiar zła* Żeromski wniknął z kolei w samą istotę *ojca zła* — w istotę szatana. Walka z nim — to górujący w twórczości Żeromskiego motyw.

Znać u niego dwa odrębne okresy z rozwoju *diabłoznawstwa*, obadwa jasno wytknięte: pierwszy ujawnia się najdobitniej w „*Róży*“, gdzie szatan jest przedstawiony jako tragiczne w swej dwuznaczności *Bożyszczce*, jako „*Duch siły*“ potęgujący u jednych ludzi męstwo w złem, u innych męstwo w dobrem.

W drugim natomiast etapie poznawczym, którego szczyt stanowi „*Wiatr od morza*“, widzi Żeromski w szatanie czynnik jednoli-

cie zły, truciela ludów i dziejów, pomorskiego *Smętka*.

Pomiędzy „Różą“ a „Wiatrem od morza“ widać u Żeromskiego uderzającą zmianę poglądów na rolę *demonizmu* w dziejach świata.

Warto na nowo przypatrzeć się *Bożyszczu* dziś, z perspektywy lat. To nie tyle „*duch siły*“, ile *duch sprzeczności*. Poznajemy go (patrz prolog „*Róży*“) w towarzystwie widma jednego z prowokatorów z roku 1905.

Ten zabity przez systematycznie zdradzających bojowców z P. P. S. szpieg Anzelm — tak o nich opowiada swemu *Bożyszczu* i panu:

...Gdy im się uchyliły drzwi, prowadzące na tamtą stronę, dokąd tyle lat wzdychali — nim próg minąć — spojrzeli sobie przede wszystkim w ślepią, kto ma pierwszy dopaść krzesel kurulnych, tytułów, zaszczytów i dochodów. Drzwi otworem stały, a oni skoczyli sobie do gardzieli przed progiem...

...Wtedy to ktoś, a zda mi się, że to ty, o Bożyszczu — zatrasnął zniechęca drzwi.

Tak mówi zaprzaniec, prowokator Anzelm do tego, którego zowie: *duchem siły*. Ten *duch* zarzuca wprawdzie zdrajcy podłość, lecz z tekstu „*Róży*“ widać, że *zdrajca działał z rozkazu tegoż Bożyszczu*.

Oto na stronie czwartej pierwszego wydania „Róży“ szpieg Anzelm, wprowadzając Bożyszcze na bohaterską mogiłę powieszzonego bojowca, powiada:

...Lekka nadwiślana mgła pozdrowiła jego oczy, począł wołać w tę woń, w tę mgłę wariackie swoje hasło: — Niech żyje Polska niepodległa. — Raz, drugi, trzeci, czwarty. I tak co krok. Bębny nie mogły zagłuszyć tego krzyku. Dopiero szybko rzucona pętlica... Spełnione już twe pragnienie...

BOŻYSZCZE

Spełnione, sługo.

ANZELM

Jakąż mi dasz nagrodę? Syna mam, panie, panie!

BOŻYSZCZE

Nie minie cię zapłata.

.

Kimże więc jest w istocie owo Bożyszcze o podwójnym licu? Czy mamy dane, aby dorozumiewać się w nim szatana, według pojęć na przykład gnostyków lub różokrzyżowców?

Sprawdźmy, co mówi o nim sam Żeromski w „Róży“. Dobrane przezeń motto z Shelleya najprzód wskazuje na angielski ro-

dowód: „*Deity*“, ale to przecież tylko dalsza — w mistyce angielskiej — emanacja pojęcia znacznie starożytniejszego.

Jesteśmy, jak się zdaje, na właściwym śladzie, bo oto w miarę wertowania „*Róży*“ ujawniają się cechy antyczne Bożyszcz. Informacja na stronie dziewiątej wymienia, iż nosi ono „frygijską czapkę, symbol *Mithry*“. Głosy grobowe straconych bojowców zwa to Bożyszcz z grecka: „Dajmonionie!“ (str. 26).

Kiedy zaś ukazuje się ono pod koniec, w sprawie *czwartej*, „pod postacią Piraty“, to ma na sobie „chiton grecki“, a na rękoleści miecza posążek Diany z Efezu, z trzema rzędami piersi, karmiących życie ziemi.

Symbol *Mithry* na głowie Bożyszcz ma wyraźną wymowę. Przecież *mithraickie* właśnie misteria siły, umiłowane przez żołnierzy, skutecznie ongi rywalizowały z chrześcijaństwem, gdy szło o podbój duchowy imperium rzymskiego, a do dziś dnia mają chwalców i wyznawców (nawet tej miary, co niedawno zmarły Rudyard Kipling) w imperium angielskim.

Nie bez znaczenia jest w „*Róży*“ i to, że symbol *Mithry* — czapka frygijska — powtarza się i w symbolice wielkiej rewolucji francuskiej, która znajdowała się pod wpływami tajnych stowarzyszeń, sięgających pośrednio przez przyswojone sobie tradycje i mity wy-

klętych zakonów średniowiecza aż w głąb mistyki świata antycznego.

Demoniczny charakter Bożyszczu uwypatniają wspomniane już głosy bojowców straconych w Cytadeli, nazwanej w „Róży” *kościwą duchów*. Oto najznamienniejsze z tych wołań do Bożyszczu:

Dajmonionie! ...Kapłanie, który czystości swojej nie tracisz, przechodząc w poprzek zła...“ „Ty, któryś jest wiekuistą żądzą wszystkości, któryś jest wieczny głód, daremnie pożądający, któryś jest bunt, głęboko ukryty... (str. 26).

Bożyszczu zaś o sobie samym mówi na stronie 29: „Ja, zamaskowany gniew, chorągiew ognista w nocy“.

Bożyszczu szerzy zło, chociaż go niby nie nawidzi, wyrażając się o nim stylem dwuznacznym, zapożyczonym od gnostyków, że jest „grubym nasieniem, z którego, gdy minie długa zima i wiosna wasza nastanie, dobro wypuści kły“.

Rzucając bohaterskim więźniom Cytadeli niedościgłe marzenia o człowieku wolnym, Bożyszczu gotuje dlań drogę w taki oto sposób:

Osądziłem! Niechaj wygasa, zamiera wolność święta, miłość w łonie niosąca, piękna wiecznie. Niechaj nikczemne

oszczerstwo toczy najczcigodniejszą sławę, podobnie jak robactwo toczy trupa bohatera. Wzmagaj się, nienawiści sekretna, niewytrzebiona, równa sile życia i sile śmierci. Wzmóż się, ciemności! Rozszerz się, nędzo! Rozpostrzyj się wzdłuż, wszerz, w głąb — stań się lotną i niewidzialną jak zaraza.

Czyż tutaj nie pobrzmiewa echo skrajnych sekt gnostyckich, ofitów lub kainitów, dążących ku dobru przez nurzanie się w złem? Rasa duchowa Bożyszcz, pomimo odsyłaczy do tajemnic ukrytych w jego misji, jest jasno określona: to brat przyrodni Mefistofelesa, dialektyk jak i tamten, tylko bez humoru, wywodzący się w kolorycie psychicznym raczej z Milтона i Shelleya, niż z Woltera i Goethego.

Jak stwierdza w cennym studium St. Piolun Noyszewski, Żeromski był w młodości głęboko, po katolicku pobożny. Często obcował z Bogiem w serdecznej modlitwie. Jeśli zaś pod wpływem pozytywizmu *na chwilę* zwątpił o Nim, to przecież *nigdy pozytywistą nie został*. Najpewniej dlatego, że równoczesne zetknięcie się z prądami ezoterycznymi dało mu przeświadczenie o niewątpliwym istnieniu świata pozagrobowego.

Można to zamknąć w następującej formule:

Dom rodzinny pouczył Żeromskiego o Bogu, następnie ludzie dali mu poznać szatana, a więc na pozytywizm nie było już miejsca.

„Róża“ jest bardzo ważna dla poznania dziejów wewnętrznych Żeromskiego: widać w niej bolesne sądowanie — po omacku — głębin diabelstwa przez człowieka.

Ale nawet tam, w epoce entuzjazmu dla ciemnych tajemnic różokrzyżowcowych, trwała w Żeromskim tęsknota do jasnej, Chrystusowej świętości. Oto dowód:

Bohater „Róży“ Czarowic (tak ulubiony przez autora, jak później Czarus z „Przedwiośnia“) upaja się w Cytadeli piękną mistyczną watykańskiego tryptyku Rafaela i wyznaje współwięźniowi, że go najwięcej zachwyca owo:

braterstwo człowieka z aniołem, stowarzyszenie się ich dwu ramię w ramię. Święty Piotr idzie radosny nie dlatego, że staje się wolnym, lecz dlatego, że idzie z aniołem. We fresku tym pokazana jest radość wypływająca ze świętości. Wychodzić z więzienia w towarzystwie anioła, zstępować ze schodów do niezmiernych, nowych, boskich prac! U ramion wyrastają skrzydła... o radości! Powiedz mi, wszak

widziałeś zenit rewolucji, przeżyłeś na dnię moskiewskiego więzienia najczarniejsze godziny niewoli — czy wyjdzie kiedy Polska ze swego więzienia w towarzystwie swego anioła, żeby zstąpić do niezmierzonych, Boskich prac?

Tak, sprawa jest jasna: już wtenczas, na siedem lat przed wojną światową, Polska braterstwa chrześcijańskiego, Polska — pierwszy zagon królestwa Boga na ziemi — oto było najistotniejsze podglebie duszy Stefana Żeromskiego.

Nie dziw, że w lat osiemnaście potem ten właśnie człowiek dał najpiękniejszy na świecie opis Najświętszej Ofiary w „Wietrze od morza“.

Żeromski wczuł się do głębi w najświętszą tajemnicę Mszy, dając natchniony obraz męczeństwa świętego Wojciecha:

„Ty będziesz mną a Ja tobą“ — mówi wedle niego Chrystus do swego naśladowcy po tej najstraszniejszej chwili, którą przeżywa, jak widać z „Żywotów“, każdy święty przed końcem doczesności, gdy czuje się jak gdyby opuszczony przez Boga na chwilę.

„Panie, czemuś mnie opuścił“ — wołał sam Chrystus pod koniec Męki Krzyżowej. Ta najboleśnieszka chwila jest kresem wiedzy i zasięgu mocy szatana. Naówczas człowiek

już na zawsze wychodzi z człowieczeństwa skazitel nego, aby odrodzić się w nowej Jeruzalem, w nowej ziemi, wolnej od wszelkiego brudu.

Tylko w stanie łaski najwyższej można było — jak to zrobił Żeromski — wypatrzeć ową „ścieżeczkę między życiem a śmiercią, szlak między tym a tamtym światem, który się we mszy pośród mroków rysuje“ — podczas gdy „ciało odpada z ducha na wzór szaty znoszonej i ciężkiej od brudu“.

Oczywiście, że zarówno w „Wietrze od morza“, jak w całej twórczości Żeromskiego prąd powyższy jest tylko Golfstromem w mnóstwie wirów, ale przecież Golfstrom wywiera właśnie decydujący wpływ na klimat.

Profesor Konrad Górski w studium pt. Żeromski i katolicyzm*) twierdzi, że: „Wiara w Boga i nieśmiertelność duszy, a następnie pozytywny stosunek do ideału świętości i wrażliwość na mistycznie uczuciową stronę katolickiej obrzędowości — stanowią zrąb pojęć i przeżyć Żeromskiego, zbliżających go do katolicyzmu. Ale poza te pierwociny życia religijnego pisarz nie wyszedł“.

Muszę zakwestionować ostatnie zdanie powyżej przytoczonego ustępu.

*) Patrz „Literatura a prądy umysłowe“. Wyd. Rój, 1938.

Jak to? Więc prof. Górski uważa za *pierwociny* życia religijnego taki stan ducha, który pozwolił Żeromskiemu odtworzyć, a więc i przeżyć wewnętrznie wspólnie ze świętym Wojciechem chwilę tak wzniosłą i tak wyjątkową, iż stanowi ona odpowiednik Golgoty?

Gdyby takie bywały *pierwociny*, powszechnie dla katolików obowiązujące, to gdzież byłyby *szczyty* życia religijnego? Przy takich „*pierwocinach*“ już bylibyśmy obecnie chyba nie wojującym, ale tryumfującym Kościołem.

Wbrew zdaniu profesora Górskiego mam, że niedomoga Żeromskiego w dziedzinie chrześcijaństwa wcale nie polegała na tym, że poza nastrój elementarny katechumena nie wyszedł.

Sądzę, że dramat Żeromskiego w dziedzinie religii miał przebieg *odwrotny*, że właśnie znając *szczyty* religijne, nie mógł ten pisarz przyswoić sobie *pożytecznej i szanownej powszedniości* chrześcijańskiej, zarówno w dziedzinie karności, jak konsekwentnej praktyki codziennej.

Żeromski posiadał wiele z tego, co mają tylko i wyłącznie wybrani: wnikał natchnieniem w wysokie stany ducha świętych Pańskich. Brakło mu za to na codzien twardego hartu pokory, zdobywanego tylko wytrwa-

łym sylabizowaniem systemu teologii, przy wytężonym i nieustannym uzgadnianiu jej z życiem.

W przytoczonej tak trafnie przez profesora Górskiego przedśmiertnej notatce Żeromskiego mamy stwierdzenie, że pisarz zdawał sobie sprawę z kontaktu z Bogiem przez łaskę i to tak wyraźnie, jak tylko dane jest odczuwać ją najwyższym wybrańcom.

Przytoczę stamtąd parę zdań na dowód:

Ktoś ukazuje mi wciąż, wczoraj i dziś w ciągu długotrwałego życia to potrącenie aż na sam brzeg przepaści i nagłą łaskę odpuszczenia. Ileż razy głowa moja nad samą krawędzią przepaści i mgłą upadała w ostatnim znużeniu na błogosławioną dłoń spokoju i w łasce tej właśnie dłoni spoczywała.

Otóż te, jak wyznaje Żeromski, zdarzające się w ciągu *długotrwałego* życia nagłe olśnienia łaski zaznaczają się wyraźnym śladem już w „Róży“, bo i tam, skroś mgłę ezoteryzmu, sponad przepaści Bożyszczą o podwójnej twarzy, przebija ten sam co później w „Charitas“: „radosny śmiech, wzburzenie, które się z Boga rodzi, *gaudium spirituale, quod de Deo est*“.

Twierdzę z najgłębszym przekonaniem, że właśnie w „Róży“ przejawily się główne

składniki tworzywa, którym ten pisarz miał posługiwać się w literaturze po przełomie, jakiego doznał po r. 1905. W „Róży“ już się przebija domysł, mający później w „Wietrze od morza“ przyjąć kształt pewności, że cechą główną szatana jest *smętek*, zagłuszany dla uwodzonych przezeń śmiertelników przez *vinum daemonum*, duchowy narkotyk, podniecający do wyuzdania uczuć i wyobraźni.

Kielich takiego demonicznego wina przyjął wcielony w Czarowica Żeromski i został za to wyprowadzony z symbolicznego więzienia przez wtajemniczenie w misteria ciemnego Bożyszcza, chociaż *już wtedy marzył o innym wyzwoleniu*: przez jasnego anioła, tego samego, który oswobodził świętego Piotra.

To wyzwolenie anielskie widocznie nastąpiło później, skoro Żeromski — według profesora Górskiego — „ze wszystkich dróg, na których ludzie poszukują Boga, najbliżej znalazł się katolicyzmu“.

To zbliżenie do katolicyzmu nastąpiło u Żeromskiego nie tylko przez *intuicyjne* widzenie Boga, nieśmiertelności duszy oraz związku moralnego między człowiekiem a niebem, ale przede wszystkim przez *niedwuznaczne potępienie* tych mocy metafizycznych, które związkom człowieka z Bogiem przeszkadzają.

Bo myli się prof. Górski, gdy przypisuje Żeromskiemu sceptycyzm, zaszczerpiony w nim przez kulturę pozytywistyczną i niweczący wszystkie zdobycze łaski.

Nie! Żeromski prawdziwym sceptykiem nie był i być nie umiał. Pozytywizm zostawił na nim i na jego twórczości tylko powierzchowne piętno. Ta natura namiętna, ten mistyk *rasowy* chwiał się tragicznie pomiędzy niebem a piekłem, między monoteizmem a politeizmem, lub jak kto woli, chrystianizmem a prometeizmem. Ale wcale nie między światem a zaświatem.

Narkotyk namiętności i dumy, *vinum daemonum*, podsuwały mu ciemne bożyszcza, kiedy on pragnął *mszalnego kielicha* i chleba anielskiego, ażeby osiąść wzorem Piotra apostoła *radosny spokój ducha*.

Ten właśnie kielich w opisie Ofiary świętego Wojciecha wzniosł nad wszystko — i w swym artyzmie, i w sumieniu.

Należy zwrócić uwagę na rzecz dotychczas przeoczoną, że w „Róży“ padło po raz pierwszy nazwisko Graffiacane, pod którym później Smętek, czart „Wiatru od morza“, zdziałał najjadowniczy swój czyn: rzeź bezbronnych Słowian w grodzie Gmewe pod Gdańskiem.

Skrytym podszeptem rządzi Graffiacane jawnymi władzami Krzyżaków, tak jak duch

jemu pokrewny rządził zakonem Templariuszy, według oskarżeń stawianych im w sławnym procesie.

Dowodem niezbitym, że już w okresie rewolucji 1905 — 1906 roku Żeromski wykrywał w jej symbolicznym Bożyszczu pierwiastki szatańskie, jest sama nazwa Graffiacane użyta nie tylko w „Wietrze od morza“, ale już i w „Róży“.

Kiedy uwięziony w Cytadeli Czarowic nawiedzony zostaje przez Bożyszczę w zbroi Warneńczyka, przedstawia się ono tak: „Jestem król wasz nowy, który zakładam wpośród waszych dusz *moćcarstwo woli*“.

Wyrwą w murze, rozbitym magicznie, wychodzą obaj następnie za wrota Iwanowskie. Bożyszczę wtedy „woła w noc“:

— Calcabrina! Graffiacane!

Nikt nie zwrócił dotychczas uwagi na te znamienne imiona i na ich znamienny rodowód wprost z „Piekła“.

W pieśni XXI Dante wśród diabelskiej milicji, która jemu i Wirgiliuszowi zastąpiła drogę na bagnach „Inferna“, wymienia właśnie duchy, wezwane przez Bożyszczę w Cytadeli. Są to Graffiacane, czyli Psi Pazur, i Calcabrina, czyli Tłumirośa.

Te stwory piekielne zjawiają się u Żeromskiego w postaci rumaków, na których wyru-

sza w świat Czarowic z Bożyszczem, podobnie jak na koniach, również wypożyczonych z piekła, jeździli Faust i Mefisto w poemacie Goethego.

U Danta tercyny, wspominające o tych dwóch diablach, brzmią tak w oryginale:

*...Tratti avanti, Alichino e Calcabrina
Comincio egli a dire, e tu, Cagnazzo;
E Barbaricia guidi la decina.*

*Libicocco vegna oltre, e Draghignazzo,
Ciriatto sannuto e Graffiacane,
E Farfarello, e Rubicante pazzo.*

Certate intorno le bollenti pane...

W przekładzie Edwarda Porębowicza ten ustęp uderza również dosadnością języka:

*Niech Tłumiroś z Wilą naprzód zmyka!
— Wrzasnął — Psia Morda za nimi w sie
czyasy;*

Kudłacza daję wam za dziesiętnika.

*Nadto ruszajcie Smoczy Pysk i Łasy,
I Ostry Pazur*) i Knurzec zębaty,
I ze Szalejem opętaniec Krasy.*

Nad wrzącą smołą rozstawić mi czaty...

*) Graffiacane został przezwany Ostрым Pazurem przez tłumacza.

Oto jaki rodowód ma Graffiacane, ten sam, który pod imieniem Smętka nie tylko urządził rzezie bezbronnych rękami krzyżakami, ale i celowo, z rozmysłem demoralizował słowiańską młodzież rolniczą i bartniczą, judząc ją przeciw tradycjom i prawom rodowym, aby ją w końcu wydać w niewolę opętanym przez niego członkom Zakonu — na germanizację z ducha i mowy.

Charakter dantejskiego Graffiacane przejawia się i w swawolnej demoralizatorskiej działalności, już bowiem w „Infernie“ należał ten czart do grona figlarzy, jak świadczy następująca tercyna:

*Per l'argine sinistro volta dienno;
Ma prima avea ciascun la lingua stretta
Co' denti verso lor duca, per cenno:
Et egli avea del cul fatto trombetta...*

Co w przekładzie Porębowicza brzmi:

*Wtem ku lewemu pierzchnęli wałowi,
Wprzód wyciągnąwszy języki przed starszym,
Zębem przycięte, znak dziesiątnikowi;
A on im ...zagrał przed wymarszem.*

Takiemu Graffiacane-Smętkowi, podrzędnemu żołdakowi piekiel, składa u Żeromskiego hołd wódz niemiecki, przeinaczając znak Zbawiciela na swej chorągwi i na piersiach.

Grozę tego aktu uwydatnił jeszcze autor „Wiatru od morza“, uczyniwszy zeń tragiczną parodię znanej sceny ewangelicznej, gdy szatan kusi Zbawcę władztwem ziemskim.

Oto oś dziejów ludzkich — od Bożyszcza do Graffiacane — przez Żeromskiego wytknięta. Smętek-Graffiacane wedle „Wiatru od morza“ długo gra w dziejach rolę nuncjusza antychrystusowego przy rządach ludzkich tajemnie przezeń inspirowanych. W roku 1925 Żeromski jeszcze wierzył, że jasny duch Polski zwycięskiej przepędzi go na wieki wieków z Pomorza.

Żeromski na dniu swej jaźni czuł po chrześcijańsku... Nie tylko czuł, ale i myślał. Stwierdziwszy rzeczywistość szatana, wrócił do Boga rdzeniem serca. Najgłębszymi definicjami dojrzałego rozumu doszedł do tego samego, co mu w dzieciństwie odkryła prosta wiara. Już w „Róży“ znać przeblysł takiego stanu duszy, jakiemu w przeddzień swojej śmierci Żeromski dał wyraz pisząc:

Kiedy leżymy na ziemi, powaleni przez nieszczęście, kiedy strugi łez wylewamy w kamienie, coś zdobywamy, gdzieś się wdzieramy, stajemy się komuś wszechpotężnemu równymi, kto jest sprawiedliwością i miłosierdziem. — On to straszliwymi karami zabija w nas tyranię i zemstę, oducza

lekkomyślniej podłości i uczy wewnętrznego nadsluchiwania. — Czemuż to czyni za pomocą kar? — Ściska aż do uduszenia żelaznymi szponami, aż do ostatniego podrzutu nieszczęsne serce, żeby zeń kroplę świętości wycisnąć. — Czy ta sprawa tak jest w istocie, czy jest to tylko ludzkie, ordynarne, prostackie złudzenie, albo jaka daleka przenośnia?

Ktoś ukazuje mi wciąż, wczoraj i dziś w ciągu długotrwałego życia, to potrącenie aż na sam brzeg przepaści i nagłą łaskę odpuszczenia. Ileż to razy głowa moja nad samą krawędzią przepaści i mgłą upadała w ostatnim znużeniu na błogosławioną dłoń spokoju i w łasce tej właśnie dłoni spoczywała. — O dziwne, o przedziwne, o niepojęte, o niedocieczone zjawisko! — Ileż to razy w długoletnim misterium mego życia jęczałem po nocy, ileż razy leżałem na ziemi, prosząc o łaskę odpuszczenia!

*Wszystko można wyśledzić spokojnym wzrokiem rozumu, wszędzie można zejść światłem nieskazitelnym logicznego wywo-
du, można ujrzeć jak na dłoni duszę swą, istniejącą poza ciałem, bytującą okrom mózgu, lecz nie można Ciebie wyśledzić światłem nieomylnego rozumu.*

Uważam, że tymi słowy Żeromski uczynił swoją spowiedź w przeddzień śmierci.

REYMONT I DUCHY

Wspomnienia te dotyczą głównie okresu sprzed lat dwudziestu kilku, gdy Warszawa podczas Wielkiej Wojny była przeobrażona już to w szpital polowy na froncie biegnącym przez Konstancin, już to od własnych przedmieść odgradzona płotem niemieckich rogatek żywnościowych; gdy była wstrząsana taraganiną sprzecznych ideologii, wsłuchana intuicją w przyszłość, ale wobec teraźniejszości trzeźwa i wszelkiemu cudotwórstwu politycznemu na ręce patrząca.

Ta Warszawa oczekuje jeszcze swojego dziejopisa artysty, który by ją w całości w literaturze odzwierciedlił.

Spodziewałem się niegdyś, że dziejopisem tym będzie Reymont... Niestety, śmierć zabrała go wcześniej, nim zdołał wszystkie sprawy wtedy widziane i przeżyte ująć w dojrzałe słowo z perspektywy dłuższego czasu.

Miałem szczęście często widywać wielkiego pisarza w roku 1916 — 1918 i często też podziwiałem jego bystrość w ocenie tej jedynej w swoim rodzaju epoki.

Okupacja niemiecka najwyższy ucisk przeplatała liryzmem oficjalnym. Tragizm codzienny łączył się z jakimś ponurym komizmem w niewiarogodny paradoks powszedniego dnia.

Warszawa, pełna stukotu drewnianych posadzew i elegantów w „nicejskich“, jak wówczas nazywano garniturach, odżywiana chlebem z dzikimi kasztanami, wygłodzona i wydana na żer paskarstwu, nękana daninami, pomimo zaś odcięcia od świata — szpiegowana co krok, musiała w tych warunkach szukać ulgi w sarkazmie. Śmiech po ciężkim dniu, osładzanym jedynie sacharyną, stawał się po prostu nakazem higieny psychicznej.

Lgnęli więc wszyscy do Reymonta, z którego werwa satyryczna tryskała bujnie w improwizacjach, niestety nie spisanych, choć nieraz godnych najlepszych stronic „Ziemi obiecanej“.

Państwa Reymontów widywałem wówczas najczęściej w domu moich teściów, u których co czwartek schodziło się wieczorem spore grono osób. Kogo tam nie było! Przez cztery lata wojny przewijali się w tym salonie: Roman Dmowski, doktor Kazimierz Dłuski, generał Haller, Władysław Studnicki, Stanisław Grabski, Wojciech Korfanty, prof. Tichy, Grzymała Siedlecki, Wanda Siemaszkowa,

Karol Frycz, Wojciech Kossak (jeszcze w mundurze i z autentycznie zdobyczną nahajką kozacką w ręku!)*).

Poza tym — mnóstwo malarzy, wojskowych, literatów, polityków najrozmaitszych odcieni. Gromadzili się już to jednomyślnymi seriami, już to w różnorodnych mieszaniach i wtedy zamieszanie hałaśliwe towarzyszyło rozprawom.

Czas okupacji niemieckiej to była nieustanna blokada żołądków i sumień, więc rozdrażnienie i niepewność nurtowały wszystkich. Najspokojniejsi ludzie bywali skłonni do wybuchów.

Najostrzejsze z pamiętnych mi starć odbyło się zimą 1916 roku pomiędzy Reymontem a matką mojej żony, gościnną amfitrionką. On, „ententowiec“ zagorzały, ona — żarliwa stronniczka hasła, że niepodległość trzeba brać choćby od diabła, byle prędko.

Owego czwartku starli się tak żwawo, że Reymont wybiegł bez pożegnania i jeszcze z windy — nie bacząc na podsłuch — antygermańskimi argumentami ział ku gospodyni, która usiłowała odciąć mu odwrót ogniem zaporowym swej wymowy.

*) Nahajka miała napis rosyjski na rękojeści: „Koniowi w pole — żenie w domie“.

Aliści Reymont z nagłą użył argumentu, który na dziesięć sekund oniemił nawet moją teściową. Podniósłszy głos, wyrzucił mianowicie z chrypnącego już gardła:

— A wie pani, dlaczego Niemcy nie mogą wygrać wojny? Bo naród, który ma taką podłą kuchnię jak oni, nie może zwyciężyć Zachodu!

W tych czasach groźby w stylu, że „noga moja tu więcej nie postoi!“ — bywały chlebem powszednim podczas kolacyj na piątym piętrze w Bristolu. Zrywano ze sobą „na zawsze“, a spotykano się w następny czwartek.

Bitwa przy windzie bristolowskiej, przypominającej owego czwartku teren ataków na Chemin des Dames, również nie wywołała długich konsekwencji, bo zakończył ją już nazajutrz rycerski gest Reymonta przechowany z pietyzmem w następującym liście:

Szanowna Pani.

Jestem chory i w następstwie czego) nazbyt łatwo ulegam rozdrażnieniu — więc jeśli wczoraj przestąpiłem dozwoloną granicę, zresztą mimowoli, w naszej dyspucie, to najserdeczniej Sz. Panią przepraszam. Żałuję niezmiernie, jeśli mogłem czemkolwiek zasłużyć na niezadowolenie Sz. Pani.*

*) Jak widać, zdenerwowanie wpłynęło nawet na drobne zniekształcenie stylu znakomitego pisarza.

Jeśli kiedykolwiek w życiu będę miał jeszcze okazję, powtórzę przeproszenie osobście i jaknajuroczyściej.

Łączę wyrazy najgłębszego poważania, szacunku i przyjaźni.

Sługa

Wł. St. Reymont

19—10. 1916.

Krak. Przedm. 79.

Okazja zdarzyła się natychmiast. Po wymianie not pojednawczych strony przeciwne zebrały się nie zwlekając przy stole bristolowskim, gdzie miejsce przedwojennych frykasów znakomicie wypełnił Reymont opowiadaniem pacyfistycznym o arcydziełach kulinarnych wszystkich krajów Europy.

Nie po raz pierwszy Władysław Reymont okazał się w rozmowie wytrawnym gastro-nomem. Znał się na kuchni, a w chwilach dobrego humoru potrafił teoretyzować nie gorzej od klasycznego smakosza, Brillat Savarin, na temat przypraw i sosów. Zmąciło to nawet poetycki obraz, jaki moja żona po przeczytaniu „Chłopów“ wyrobiła sobie o ich autorze jeszcze w panińskiej wyobraźni. Los chciał, że pierwszym dłuższym monologiem, jaki usłyszała z ust uwielbianego pisarza, był opis jakiejś zupy rakowej, przechodzący chwilami w hymn pochwalny.

— Nie wiedziałam do owej chwili — wyznała mi później — że literaci mogą tak strasznie dużo mówić o jedzeniu! Byłam do tego stopnia zaskoczona pierwszym spotkaniem z Reymontem, że postanowiłam nie zapoznawać się więcej ze znakomitościami literatury, aby uniknąć nowych rozczarowań...

Później zmieniła zdanie. Do dzisiejszego dnia rozkoszujemy się niekiedy wspomnieniem soczystej sceny między Reymontem a Konstantym Komierowskim, godnym jego partnerem w znawstwie rozkoszy stołu. Już sam widok ich obu podczas tej rozmowy prosił się co najmniej o aparat fotograficzny, jeżeli nie o pędzel. Słynne dwa i ćwierć metra wzrostu Komierowskiego zwisało ciężkim masywem nad okrągłą postacią autora „Komediantki“ przy wyliczaniu zalet „bouillabaisse’y“*) podlanej odpowiednim gatunkiem burgunda. Dłoń Reymonta co chwila typowym dla niego gestem odrzucała niesforną czuprynę garnącą się ku czołu... Wzrokiem i fachowymi uwagami podsycił twórczą werwę opowiadającego, dopóki sam, porwany jakimś smakowitym wspomnieniem osobistym, nie dorzucił nowej strofy do kucharskiej rapsodii.

*) Jest to bulion z morskich ryb i skorupiaków, tak pieprzny, że tylko wtajemniczeni mogą się poznać na tym południowo-francuskim specjale.

Gorączkowe dyskusje polityczne rozbrzmiewały jednak daleko częściej w „Bristolu“, chociaż hotel ten, zawsze pełen oficerstwa, był wówczas jak gdyby filią głównej kwatery sztabowej, dokąd wchodziło się za specjalnymi przepustkami. Pomimo to właśnie tam rozmawiano najswobodniej na temat okupacji.

Reymont posiadał dar odczytywania z cenzurowanych depeš ich właściwego sensu niecenzuralnego. Obdarzony niezwykłym talentem kompozycji, odbudowywał pożądaną prawdę czasami niemal z niczego, zestawiając po mistrzowsku szczegóły rozproszone, które uszłyby bacności każdego innego oka. Te jego dedukcje w najcięższych czasach zdolne były podtrzymać ducha.

W modzie był spirytyzm. Opowiadano cuda o potędze medialnej Guzika. Powieści te, przechodząc z ust do ust, nabierały tak wielkiej plastyki, iż się zdawało, że granica pomiędzy tym a tamtym światem jest tak samo zachwiana, jak front austriacki nad Isonzo albo rosyjski nad Dźwiną. Jeszcze kilka miesięcy, a stała komunikacja między ziemią i astralem będzie, zdawało się, uregulowana prawidłowo, niby rozkład jazdy kolejną żelazną.

Reymonta interesowały seanse. Bywał świadkiem objawów uderzających niezwykło-

ścią, a tak uroczco o nich opowiadał, że zaciekawiał mnie bardzo. Materializacja ducha-officera z 1830 roku, który wskazał miejsce swego zapadłego w ziemię grobu i zostawił na dowód srebrną szlifę — była po prostu arcydziełem narracji i wzbudziła we mnie gorącą chęć ujrzenia czegoś podobnego na własne oczy. Dzięki protekcji Reymonta dostałem zaproszenie na seans do pani W...

W niewielkim pokoju przy ulicy Mokotowskiej podczas seansu grał samoistnie fortepian, unosilo się fosforyzujące zwierciadelko ręczne, a substancja niewidzialna składała oślizgłe pocałunki na czołach uczestników siedzących w kółko.

Niektórzy z nich widzieli zjawy zmaterjalizowane i z detalami opisywali ich wygląd. Myśmy obaj z Reymontem tego nie dostąpili... Wysoki, ciemnowłosy ziemianin, najwybitniejszy w tym kole *duchowidz*, zapowiedział dopiero pod koniec seansu, że do Reymonta podszedł duch opiekuńczy. Na prośbę, aby zjawa raczyła się odezwać, usłyszeliśmy dziwny bełkot, jakby nie z gardła wychodzący:

— Ne ...ph...ph...ph...al! Ty...y...y...ne ph...

— Co mówisz, mój opiekunie? — zapytał Reymont niewidzialnego dla nas gościa drgającym ze wzruszenia głosem.

— Powtórz, proszę cię...

— Nne ph...al! Ne ph...phal!...

— Co? Czego mam nie robić? Powiedz wyraźnie, mój opiekunie... Poradź mi... Ja taki chory...

— Ne ...phaal... Ne phaal! — bąkał gorliwie opiekun astralny z akcentem brzuchomówcy.

— Rozumiem! Mam nie palić! — krzyknął Reymont radośnie.— Nie będę! Daję ci słowo, opiekunie!

Co do mnie, byłem tego znudzony i gruntownie rozczarowany. Spodziewałem się, że Reymont zaliczy także nasz seans do chybiomych, on, który materializację owego oficera z 1830 roku przedstawił jako objaw niemal powszedni na seansach. Toteż zdumiałem się, gdy Reymont po obudzeniu medium podszedł do mnie z rozplamienionym wzrokiem i zagadnął tryumfalnie:

— A co? Prawda, że teraz nie ma pan żadnych wątpliwości? Ach, jeszcze nigdy duchy nie objawiały się tak wyraźnie, jak dzisiaj!... To było po prostu nadzwyczajne!

Mówiąc to, jedną ręką nerwowo przejechał po włosach i poprawił binokle, gdy tymczasem prawica ruchem nawykowym sięgnęła po papierosa.

— Obiecał pan duchowi nie palić... — wtrąciłem dyskretnie. Nie spodziewałem się,

aby świeżutkie, sprzed trzech minut przyrzeczenie miało tak od razu pójść z dymem.

— To dopiero od jutra! Od jutra! — odrzucił Reymont z roztargnieniem. — Ale czy pan zauważył, jak ten szczęśliwiec (tu wskazał brodą na wysokiego szatyna-duchowidza) od razu spostrzega zjawy?

Zawiedziony przez duchy i zaskoczony entuzjazmem Reymonta przy tak mizernych wynikach seansu, odpowiedziałem jakimiś grzecznościowymi monosylabami.

Jedyna rzecz, jaka mnie w tym zebraniu uderzyła, to zachowanie się pana B..., znanego warszawskiego przemysłowca, który niedawno stracił dorosłego syna. Ten nieszczęśliwy człowiek podczas całego seansu nie zwracał na nikogo najmniejszej uwagi, ale czułymi słowami przemawiał nieustannie do zjawy swego dziecka, widzialnej tylko dla niego. Robiło to wrażenie, jakby odmawiał półszepem jakąś egzaltowaną a monotonną litanie.

Uważałem go za człowieka chorego i dotkniętego osobliwą manią.

Z czasem przekonałem się jednak, że zjawy nie zawsze są wynikiem autosugestii lub oszustwa. Mniej więcej w rok później zmuszono mnie do uczestnictwa w wieczorze spirytystycznym z tymże Guzikiem, Wandą Sie-

maszkową, moją żoną (również naklonioną wbrew chęciom) i kilkoma jeszcze osobami z rodziny.

Posadzono mnie tuż przy medium i kazało kontrolować biodrem, udem i łydką, czy nie porusza ono po ciemku odpowiednimi częściami swego ciała. Uczestniczki seansu piątym palcem mojej lewej ręki „oplotły“ piąty palec Guzika i zaleciły mi czujność. W obawie powtórzenia się nudów seansu z Reymontem, postanowiłem być niełojalnym wobec przejętych dam i ułatwić Guzikowi wszelkie szacherki przez zachowanie idealnej bierności. Niechby sobie biedak wykombinował coś bardziej efektownego, niż głuche pomruki brzuchomówcze i fosforyczne iskierki.

Ledwie zgaszono światło, medium zaczęło głośno chrapać. Natychmiast odkleiłem swe biodro od niego z tym większą skwapliwością, że Guzik, pokrzepiony solidnie przed seansem, ział na dużą odległość wiśniówką i śledzikiem...

Kiedy poczułem, że jego palec wysliznął się na chwilę z opłotów mojego, z ulgą mruknąłem sobie w duchu:

— Dobra nasza!

I rzeczywiście coś zaczęło mnie zaraz muskać w ramię, lecz o dziwo, nie w to, które było bliżej Guzika. Toteż ledwie hamując

wesołość zbyt jaskrawą, powiedziałem głośno:

— Oho! Jest duch, ale zdaje się, że kobiecy, bo bardzo pieszczotliwy...

Na te słowa coś parę razy pocałowało mnie w czoło... Nie było to zbyt miłe. Miałem wrażenie, jak gdyby mnie ktoś dotknął wilgotnymi palcami przy jednoczesnym mlaśnięciu czyichś ust w powietrzu.

Potem zaczęły się stąpania w całym obszernym pokoju, szepty, suwanie krzeseł i odpowiedzi dość sensowne na rozmaite pytania.

Zadziwiające naprawdę było tylko to, że medium od początku seansu głośno chrapało, a zapach alkoholu nie oddalał się od mego nosa ani na sekundę, co wskazywało najwyraźniej, że Guzik nie opuścił dotychczas mego sąsiedztwa. Na dobitkę drzwi drugiego pokoju były niedomknięte, tak że po oswoleniu się oczu z ciemnością widziałem w słabej smudze światła postać medium z głową pochyloną na ramię.

Nie mogłem przeto mieć żadnej wątpliwości, że odległych o parę metrów ciężkich foteli nie przesuwają sam Guzik. Kontrolowałem go przecież aż czterema zmysłami: wzrokiem, węchem, słuchem i dotykiem... Tylko smak nie brał udziału w tym dozorze.

Widmo białawe, wzrostu czteroletniego dziecka, ukazywało się od czasu do czasu,

a niekiedy słyhać było tylko jego kroki za plecami zebranych. W pewnym momencie usłyszałem szept wprost do ucha: „Już muszę iść!“ — po czym każdemu z obecnych, jakby ich okrążając, ten sam głos powiedział: „Z Bogiem!“

Naraz poczułem, że czyjaś ręka mocno popycha moją głowę w prawo, gdy równocześnie głowę żony mojej, siedzącej obok, ktoś skierował w lewo. Gdy się zetknęły nasze skronie, wyraźny szept w górze rozkazał: „Tak bądźcie zawsze“.

Nieomal w tej samej chwili Guzik otrzymał w plecy trzykrotnego klapsa, aż zadudniało pod niewidzialną ręką — i zbudził się bełkocąc z przerażeniem: „Co to? Co? Co?“

Byłem zdziwiony, a nawet, przyznaję, że — wzruszony. Gdy opowiedziałem Reymontowi o przebiegu seansu, zalecał mi z przejęciem uczestniczenie w dalszych. Wkrótce jednak nabrałem przekonania, że te modne wówczas „rozrywki mistyczne“ kryją w sobie wielkie niebezpieczeństwo, gdyż o ile nie są sztuczkami oszustów, to kierują nimi jakieś podrzędne i podejrzane „duchy“, które się nawet nie cofają przed wzywaniem Imienia Bożego nadaremno. Kilku naszych znajomych przypłaciło uczestniczenie w takich ponurych maskaradach astralnych — własnym

zdrowiem lub życiem. Jestem głęboko przekonany, że i wzmagająca się szybko choroba sercowa Reymonta sporo owym „duchom“ zawdzięczała.

Wycofując się wówczas z uczestnictwa w eksperymentach spirytystycznych, oboje z żoną poszliśmy za instynktem. Dopiero potem zrozumieliśmy głęboką mądrość Kościoła katolickiego, który tych niezdrowych dla duszy i ciała praktyk dzisiaj tak stanowczo zabrania.

Znakomity pisarz, choć raczej z pobudek artystycznych, za bardzo się przejmował sesansami, a pod koniec życia zbyt nimi ekscytował nadwątłone już nerwy. Bujna fantazja pisarska zmuszała go do przeżywania na serio nawet tak mizernych „objawów“ jak ostrzegawczy belkot „opiekuna“. Wspomnienie sceny z ulicy Mokotowskiej tchnęło nudą w mojej pamięci, dopóki go nie usłyszałem na nowo w opowieści Reymonta przeznaczonej dla innych uszu.

Przyznaję, że nie poznałem własnych wrażeń. Bez cienia kłamstwa, jedynie przez koncentrację szczegółów, znakomity narrator uczynił z tego grubego kruszcu metal prawdziwie szlachetny, lśniący wszystkimi blaskami fantazji, a mimo to realny, nieomal rzeczywistszy od rzeczywistości.

— Czy wybierze się pan na drugi seans ze mną do pani W.? — spytał Reymont, skończywszy swą natchnioną nowelę.

— Nie, dziękuję, wolę posłuchać, co pan o nim opowie — odrzekłem z całą szczerością — bo dopiero w pańskich ustach to jest naprawdę zajmujące.

Zachnął się, ale po chwili przebaczył mi śmiałe słowa ten mistrz przeistaczania pospolitości w piękno.

A jednak w dziewięć lat później było mi sądzone odbyć jeszcze jeden „seans“ z Władysławem Reymontem. Sam był już wtedy *duchem*, a moja z nim rozmowa odbyła się nie przy pomocy medium, lecz na Akademii żałobnej w Filharmonii wobec tłumu dotkniętych jego śmiercią ludzi.

Kiedy stanąłem na estradzie, skąd wypadało przemawiać, znikli mi nagle z oczu jego przyjaciele i czytelnicy tam, w krzesłach. Skurczył się czas. Przeżyłem w minutowym skrócie wszystkie z Reymontem spotkania i gawędy. Na mgnienie oka stanął mi przed oczami nie duch, lecz żywy Reymont, z charakterystycznym gestem poprawiania binokli i czupryny, ze wzrokiem, jaki miał zawsze, gdy go coś przejmowało.

Spojrzelśmy na siebie serdecznie. Potem zniknął mi z oczu. Zacząłem mówić o *duchu* jego dzieł:

„Odszedł od nas pisarz wielki, a człowiek niezwykle. Jego sława przekroczyła granice Polski, wprowadzając go do wszechświatowego Panteonu.

„Wszakże najznamienniejszym rysem Reymonta wydaje mi się to, że nikt nie może dzisiaj wpatrzeć się w polski krajobraz, nie wspomniawszy natychmiast tego wielkiego malarza polskiej swojszczyzny w słowie.

„Jego, Reymonta, oczy patrzą na nas zarówno ze spłowiałego od słońca błękitu lipcowego, jak z czarno-szafirowej żrenicy przerebła zimą, gdy księżyc się tam odbija jak wiadro złociste. Jego, Reymonta, głos słychać w świstaniu zadymki i w szumie posuwistym wiatru wiosennego.

„Lecz w tych obrazach i głosach przyrody jawią się też inne twarze i głosy: tych, co jak on odeszli, i tych, co jeszcze są wśród nas...

„Ale cóż właśnie stanowi w Reymoncie odrębność zasadniczą, to, w czym mu nikt nie dorównał?

„Oto Reymont utrwalił w spiżu słowa i na zawsze piśmiennictwu przekazał w dziele najdoskonalej artystycznie wykończonym — *poezję przedliteracką* oraz jej wielkiego, bezimiennego twórcę: lud.

„Jak bowiem istnieje historia przedhistoryczna, tak samo istnieje też — *literatura przedliteracka*.

„Zachowała się w Polsce do dziś dnia w chłopskim egzotyzmie, któremu kres konieczny kładzie upowszechnienie kultury. I otóż Reymont zachował i ocalił genialnie dla tej właśnie kultury, która tworząc niszczy, zachował i ocalił wspaniałą w swej żywiołowej mocy — pierwotność chłopstwa polskiego. Był nowym Gallusem piastowicza Boryny, tak jak dawny Gallus był kronikarzem Bolka Krzywoustego — piastowicza.

„Przedwcześnie, w sile wieku odszedł. Przedwcześnie kształt cielesny opadł z jego ducha.

„Lecz dzieło główne zostało spełnione. I może właśnie dlatego wezwała go Opatrzność z posterunku ziemskiego na inny, bo skończył się jego doczesny dzień roboczy nie nocą, ale jasnym przedwieczerm“.

REDAKCJA
Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA
(ZDZISŁAW DĘBICKI)

REDAKCJA
Z PRAWDNIWEGO ZDARZENIA
WYDAWALNIA DZIECKA

„Altdeutsch“ kamienicy Gebethnera i Wolfa mieścił przed laty w swoich murach wybitnie polską redakcję „Tygodnika Ilustrowanego“. Było to w upajających chwilach odzyskania niepodległości, kiedy Warszawa biwakowała od świtu do nocy na ulicach, witając Paderewskiego, a z nim wolność Wielkopolski.

Chorągwie radosnym łopotem odświeżały staroniemiecką fasadę gebethnerowską, ale wnętrza redakcji nie potrzebowały na polski ład odnawiać, bo tam z każdego kąta była wtedy swojskość.

Lokal redakcji był nieco zakurzony, ale w samą miarę, akurat tyle, ile trzeba do reprezentowania stateczności i rozwagi.

Redaktorstwo naczelne sprawował wtedy Grzymała Siedlecki, który utworzył w redakcji idealnie zgrany tryumwirat koleżeński z siebie, Or-Ota i Zdzisława Dębickiego. Ja, chociaż już żonaty i od dwu lat referent Ministerstwa Sztuki i Kultury, uznany byłem za „Młode pokolenie“, czyli żółtodzioba, który

musi wyszumieć. Dano mi w tym celu dział teatralny, również najmłodszy rangą wśród rubryk „Tygodnika“.

Panowały w redakcji swoiste obyczaje: nagan, ani pochwał nie udzielano mi wprost, ale nieraz dolatywał do mnie z drugiego pokoju taki np. monolog:

— Miłaszewski jest młody szczeniak, więc miał prawo tak pisać, jak napisał, ale starszemu trzeba by za to wrzepić sto batów na gólkę.

Daleko częściej rozlegały się jednak nie takie aforyzmy dydaktyczne, jak powyższy, ale rzewne wspomnienia:

— Za moich czasów studenckich najlepsza była knajpka „Pod Rakiem“.

Echo podobnych powiedzonek oznajmiało, że w redakcji są goście. Do najczęstszych zaliczano Włodzimierza Perzyńskiego, zwanego w skrócie „Perzem“, Antoniego Langego i Władysława Reymonta, który podówczas mieszkał w tej samej kamienicy.

Gości oficjalnych oraz interesantów przyjmował głównie Zdzisław Dębicki. Uroczyście sadowił przybysza obok biurka, w którego szufladach cała prawie literatura współczesna popasała, żeglując stamtąd bądź na łamy „Tygodnika“, bądź też częściej gęsciej na makulaturę... przez kosz.

Dębicki umiał osładzać młodym poetom te szufladowe kwarantanny, trwające nieraz miesiącami albo nawet latami. Podziwiałem, że ze swojego biurka zapchanego jak kredens wszelką strawą duchową, zawsze na zawołanie przygodnego klienta umiał wyłowić odpowiednią porcję rękopisów.

Ze świętą cierpliwością odczytywał te poezje półgłosem przy autorach, wplatając w lekturę uwagi i rady tak trafne, że niejedyn sam przed końcem czytania żądał zwrotu rękopisu do przeróbek i zmian, przez co uwalniał redakcję od siebie i swojego produktu.

Za to, jeśli się zdarzył wiersz napisany z talentem, to nie potrzeba było żadnej strategii, ani dyplomacji, żeby zajął miejsce poczesne w „Tygodniku“. Jak na komendę zbiegał się wtedy do literackiego „kredensu“ tryumwirat redakcyjny na wspólne głośne czytanie, powtarzane następnie przy każdym gościu na nowo.

Pamiętam, z jakim radosnym entuzjazmem sam Siedlecki skandował pierwszy wiersz Eugeniusza Małaczewskiego (jeszcze *nikomu* w literaturze nieznanego) o „Wiśle“ trzymanej pod Gdańskiem jakby za włosy cudzoziemską, brutalną ręką:

*To Wisła, to rzeka zwykła,
A taki dla Polski cud...*

Bezwiednie powtórzyliśmy to wszyscy, oczywiście szeptem.

Najdalszy od reprezentacyjnego wejścia pokój redakcyjny nosił poufną nazwę *karceru*. Zasadzano tam tych współpracowników, którzy nieustępliwie domagając się zaliczek, zbyt długo później nie pokrywali zobowiązań rękopisami.

W razie ważnej aktualności, spadającej na redakcyjny lokal jak piorun z jasnego nieba, ludzi po prostu zwabiano do „karceru” pokusami. Obietnica zdublowanych zaliczek dopóty szeleściła w wyobraźni chudego literata pliką ówczesnych „miliardów”, aż zgadzał się odprzedać za nie *złotą wolność*. Wówczas, odprowadzony z honorami do „karceru”, siedział tam, dopóki nie wypocił zamówionego artykułu. Na osłodzenie dobrowolnej pańszczyzny dostarczano delikwentowi czarną kawę bez ograniczeń.

Tu wypada mi wtrącić, że osobiste przeżycia nie wiążą mnie z „karcerem”. Byłem jeszcze dość młody, aby gardzić (niekiedy) papierową mamoną. Zresztą teatr nie dostarczał aktualności, o których w „Tygodniku” pisałoby się z nożem na gardle...

Przepraszam! Raz się coś takiego zdarzyło: miał być otwarty Teatr Narodowy.

Obejmowałem tam stanowisko kierownika literackiego. Na moją prośbę Or-Ot obiecał napisać wiersz przeznaczony do odczytania ze sceny. Przewidując zwłokę w natchnieniu, omówilem sprawę na długo przed uroczystością. Jednakże termin ostateczny zbliżał się już nieubłaganie, a wiersza jak nie było, tak nie było.

Przyszedłem do redakcji „Tygodnika“ porządnie rozżalony. Nie zdążyłem jeszcze otworzyć ust, gdy Or-Ot rzucił mi się w objęcia i wycalaował z dubeltówki, mówiąc:

— Wiem, o co chodzi! Napisałem trzy czwarte i wszystko leży w koszu. Ale wiersz będzie! — dodał z nagłą determinacją. — Choćbym się miał zamknąć w karcerze na dwadzieścia cztery godziny, będzie pan miał ten wiersz najpóźniej jutro w południe.

— Zgoda. Nie narażałbym pana na tortury, gdyby nie to, że Osterwa musi się wiersza nauczyć. Po jutrze byłoby już za późno.

Karcer spełnił swoje zadanie, gdyż jeszcze przed wieczorem otrzymałem telefon:

— Wiersz gotowy!

Przyjechałem natychmiast. Or-Ot przywitał mnie na progu „karceru“ i z niekłamanym wzruszeniem odczytał długi utwór, którego styl, tak charakterystyczny dla ulu-

bieńca Warszawy, wyraził się najlepiej w zwrotce:

*...Z desek teatru brzmi pobudka czynów.
Czynami życia wrą teatru deski,
A pieśń spowija w dumny liść wawrzynów
I jęk niewolnych i tryumf królewski!
Tych, co podobni chorągwanym ptakom,
Lecieli w słońca płomiennego blasku,
I tych co padli bez światła oklasku,
Wskrześ, o teatrze, i pokaż Polakom!*

Wiersza słuchał również Zdzisław Dębicki, będący jak zawsze najdłużej na posterunku w redakcji. Jestem przekonany, że jego obecność i dobroczynny, życzliwy fluid więcej niż karcer dopomogły Or-Otowi do ukończenia zamówionego poematu.

O Dębickim nie mogę wspomnieć bez głębokiego rozrzewnienia. Dopiero gdy go zabrakło, uświadomiłem sobie, jak długo, cierpliwie i z pożytkiem dla innych orał swój kamienisty zagon redaktorski. On to przez długie lata kształtował smak i naprawdę polerował umysły.

Był sam poetą rasowym, lecz wypadło mu w życiu częściej poezje komentować niż pisać. Pogodnie przyjmował ten los, chociaż czuł możliwość innych dla siebie przeznaczeń.

Jako krytyk przemawiał do dziesiątków tysięcy, jako poeta — do dziesiątej części tej

liczby. A przecież ten właśnie po macoszemu nieraz traktowany w nim talent poetycki swoim od zewnątrz promieniowaniem w prozę — zjednywał Dębickiemu - publicyście umysły czytelników dlatego, że jednocześnie podbijał ich serca drugi Dębicki — poeta.

W Zdzisławie Dębickim nie było nic nad stan. Jego natura nie znosiła przesady. Snobizmem brzydził się, chociaż go u kolegów tolerował przez dobroć. W sobie nie miał go ani żdźbła.

Znamienną było w nim cechą, iż żadna szminka psychiczna nie przystawała do niego i była mu tak obca, jak teatralne bielidło ogorzałej skórze. Rumienił się swoją własną krwią i bladł swoją własną niedokrwistością, czasami... Na niczyje skinienie nie rozrzewniał się z serca, ani też nie śmiał się z brzucha na zawołanie czyje bądź.

A przecież był wybornym, rytm aktualności rozumiejącym dziennikarzem. Mając w sobie rasowość poety nie na pokaz, przez całe życie stał na widoku jako zwrotniczy prądów, które sobie przez Polskę gościńce ubijały albo koryta żłobiły.

Przedstawiciele najskrajniejszych stronnictw cenili w Dębickim bezstronność. Dążenie do sprawiedliwości miał sobie za obowiązek sumienia i honoru. Wcześniej wprzęgnięty do pracy odpowiedzialnej, wygimnasty-

kował w sobie wolę. Nigdy nie plamił się okrucieństwem, ani się nie zarażał rozpanoszoną w Polsce chorobą nienawiści. Oględny bardzo, nie gonił za błyskotliwością stylu, aby w tych jego migotach nie stracić z oczu — słuszności. Trafnym zastosowaniem przywracał świeżość nawet zwrotom utartym i spopolitowanym.

Jako krytyk, zarówno jak redaktor, używał swego autorytetu pisarzom młodym, poręczając wartość ich prac. Zawistni ironizowali na ten temat, mówiąc, że Dębicki wszędzie i w każdym dostrzeże „pocieszający objaw“ pod mikroskopem swojego optymizmu. Ja bym ten optymizm nazwał raczej życzliwością dla ludzi.

A jednak ileż razy swym stanowiskiem współczującym, głęboko ludzkim, wywoływał on „pocieszające objawy“ tam nawet, gdzie ich z początku nie było.

Pisarz o skali wysokiej, człowiek o kulturze chrześcijańskiej — wiedział Dębicki, iż głód duchowy nie każdej się ujawnia świadomości i że nie każda nędza duchowa zdaje sobie sprawę ze swoich własnych nizin.

A więc na przykład w książce „Narodziny ideału“ spieszył do takich ludzi z dyskretnym pogotowiem ratunkowym dla dusz i powoływał do życia zanikające w nich wartości.

Obowiązki pisarza — przewodnika traktował poważnie, gotów zawsze nie dojeść i nie dospać, byle im podolać. I to wszystko bez pozy na apostołstwo, z przytłumionym niekiedy sarknięciem, że znowu trzeba walczyć piórem z niedorozwojem kultury, otłuszczeniem sumienia, anemią sensu zdrowego...

Z cierpliwością wzorową sącył Dębicki swoim pacjentom-czytelnikom żelazo mocnych zasad w dawkach felietonowych, wprowadzał w ruch ożywczy ścierpnięte nieużytki umysłów, dodawał ducha tym, którzy go stracili. Stosował sztuczne oddychanie ideowe w nagłych wypadkach zaczadzeń egoistycznych i gotów był dosłuchiwać się hymnów życia nawet w bełkocie przychodzącego do przytomności zaczadzenia.

Był z tych, co na tonącym okręcie potrafiliby grać, stojąc po kolana w wodzie, ażeby współpodróżnych powstrzymać od bestialskiej paniki. Był z tych, którzy zwyczajną, spokojną mową przypominają ludziom, że są ludźmi. Dom jego, jego życie prywatne miały ten sam klimat, jaki był w jego książkach.

W ostatnim swoim dziele, w pamiętniku, mającym tytuł „Iskry w popiołach“, mówi Dębicki o swoim kulcie dla Jana Kasprowicza i o przyjaźni z nim. Istotne pokrewieństwo duchowe łączyło tych ludzi. Świadectwem tego najlepszym jest „Kraj lat dzieciennych“

Dębickiego. Zasłuchany we wspomnienia swojego dzieciństwa, wyraził je z poetycką prostotą, bliską nieraz duchowi „Księgi Ubogich“.

Kiedy wspominam Zdzisława Dębickiego, nasuwa mi się na myśl ogród wielkopański w środku miasta, oddany na użytek publiczny. Któż nie przechadzał się, na przykład, w Saskim Ogrodzie? Znamy go wszyscy latem po południu, kiedy ludzi dorosłych jest tam więcej niż drzew, a dzieci — niż trawy... Lecz bardzo mało osób widziało ten ogród wczesnym rankiem, albo natychmiast po ulewie. Oplukany z duchoty, z zielenią odkurzoną, nie natłoczony nad miarę — dopiero wtedy ujawnia swoje prześliczne zarysy, po prostu bijąc w oczy pięknnością kompozycji.

Kiedy jest pusto, każdy w lot rozumie, dlaczego *tutaj*, właśnie *tutaj*, powinien bywać tłok... I z wdzięcznym sercem sam zmiesza się z tłumem.

Jeśliby kiedyś miarodajnemu jakiemuś ciału w zbiorowej głowie zaświtała myśl, aby czcić zasłużonych poetów ochrzczeniem ich nazwiskami alej w parkach stolicy, gdzie co drugi przechodzić z książką w rękę spaceruje — to niechby Dębickiemu oddali któregoś gwarne ustronie właśnie w Ogrodzie Saskim.

Byłby to słuszny hołd: w miejscu łączącym odrębne obyczajem i wyglądem dzielnice — od Krakowskiego Przedmieścia aż do hal targowych — (więc w samym sercu miasta!) niechże upamiętniony zostanie pisarz, poważny duchem i rozważny umysłem, pisarz, którego imię najróżnorodniejsze żywioły z jednaką czcią wytrwale zachowują w sercach.

AKTOR Z SERCEM
I HUMOREM
(MIECZYŚLAW FRENKIEL)

Wiadomo w całej Polsce, że Mieczysław Frenkiel obok przedziwnej wrażliwości i wielkiego talentu miał *biały humor*, coraz radszy na świecie, a więc tym cenniejszy.

Bo tak jak biały kolor tworzy się z gamy barw innych przez wibrację, tak samo biel (a raczej jasność soczysta!) humoru Frenkla powstawała z różnych czynników uczuciowych wprowadzanych przez niego po mistrzowsku w ruch.

Ruch — to życie, a Frenkiel umiał wzruszać... Ożywiał wszystko, czego się dotknął, więc gdy chwycił za serce — i ono żyło w dwójnasób. Ileż to sztuk zostało mi w pamięci tylko dlatego, że Frenkiel w nich grał! Ileż to razy transfuzją swojej krwi serdecznej dawał rumieńce komediom anemicznym... A sztuki, które miały własny, tęgi byt, te po prostu przestawały być sztukami, kiedy *on* występował — i stawały się dla widowni — *drugą rzeczywistością*, autentycznym, osobistym przeżyciem.

Dickensa i Prusa powinowatym z ducha był ten aktor przedziwny, ten kochany cudo-

twórca z Bożej łaski, przemieniający nam szarzyznę życia w pogodę.

Z jednakową swobodą umiał być panem i chudopachołkiem, cześnikiem Raptusiewiczem Fredry i Tobiaszem Czkawką Szekspira. Mógł z równą siłą wyrazu dźgać śmierć-kostuchę szpadą Bergeraca albo iść w starokawalerskie koperczaki do pensjonarki z elegancją prowincjonalnej *grubej ryby*.

Był niezrównanym grenadierem spod Wagram albo na własnych polskich śmieciach „jenialkiewiczował” niezrównanie.

Ról miał moc nieprzebraną. Długo schlebiali mu dyrekcje nawet obce i kłaniały się w pas! Bo gdy *on* występował, widzów coś gnało do teatru. Ludzie po prostu tęsknili do Frenkla, jak do lata w szarugę jesienną: chciano się grzać w jego cieple, rozjaśniać przygnębienie jego słonecznością.

A ileż było uroku polszczyzny w jego gawędach prywatnych, pozascenicznym ilustrowanych mimiką wyborną! Rzuciwszy kilka zdań jędrnych, na przykład o polowaniu, Frenkiel przymykał oko, rozczapierzał palce, nosiskiem łapał *górną wiatr* jak wyżeł — i już widziało się łakę pod zagajem w mgle rannej, niby u Chełmońskiego.

A kiedy Frenkiel mięsistą górną wargą ruszył, jakby nastroszał wąsa ogolonego, to

przed słuchaczem powstawał pejzaż w guście Fałata i furkotały (w kawiarni!) ciężkim lotem kuropatwy.

Zewnętrzny wygląd Frenkla był arcyjowialny: z jowiszową majestatycznością łączyła się w nim groteskowa zgrubiałość rysów i całej postaci, jakby stworzonej do delii albo kontusza. Lecz biło w oczy, że ów senator jest podszyty smakoszem, więc spoufalał w lot każdego dobroduszą ujmującą.

Czasem znowu ten *polonus* przebrany w marynarkę, wyglądał na rajtara zbiegłego z płótna Fransa Halsa, a kiedy indziej przypominał ludzako rubensowskiego Sylena, rozmarzonego winem.

Przy takim bogactwie rysów nie dziw, że miał obfity zakres możliwości aktorskich. Dzięki temu w roku 1890 wezwano go na pierwszą scenę polską jako następcę pierwszego rangą aktora — Alojzego Żółkowskiego.

Z dziedzictwem stanowiska spadła na Frenkla i tradycja gry Żółkowskiego, nieustanne a nieuniknione z początku porównywanie następcy z poprzednikiem. Wiem ze świadectw współczesnych Żółkowskiemu, że był to przede wszystkim na scenie „wielki poeta egoizmu i zadowolonej z siebie głupoty“, że miał niepospolitą intuicję, która mu

zastępowała wiedzę teoretyczną, i że nie był skłonny do szyderstwa jadowitego, lecz przywary swych bliźnich ujmował w rysach na ogół pogodnych, tworząc raczej *typy* niż indywidualności, że nie przesadzał w charakteryzacjach, że wreszcie, dzięki wyrazistości swojej twarzy lubił czynić wielkie pauzy w grze i wypełniać je niespodziankami mimicznymi.

W rolach dramatycznych, jak twierdzi Kotarbiński, miewał Żółkowski pańskość, powagę i chwilami werwę, ale „nie stały one na wysokości świetnych kreacyj komicznych“.

Powołując się na zgodne świadectwa współczesnych, stwierdzić można na pewno, że Frenkiel nie poddawał się stylowi Żółkowskiego niewolniczo. Szedł w jego ślady, w „Wielkim człowieku do małych interesów“ przejmując żywcem nawet gestykulację, na przykład to przezabawne trzymanie imaginacyjnych cugli w pustych rękach. Natomiast w „Geldhabie“ dał postać na wskroś odrębną, czyniąc wzbogaconego przybysza Niemcem, a nie żydem, wbrew Żółkowskiemu, a może i wbrew Fredrze.

Niewielu osobom został w pamięci teatr warszawski z doby przedkinowej, teatr bez elektryczności, z kapiącą na fryzury widzów stearyną z żyrandola, z nieodmiennym *salò-*

nem i zawsze jednakową wolną okolicą „do wszystkiego“, od „Cymbelina“ do „Czartowskiej ławy“.

Ale w tej ubożyźnie dekoracyjnej daleko świeższe niż teraz bywały wzruszenia. Teatr ówczesny, jak widać nawet z repertuaru, musiał być — poza służbą sztuce — czymś w rodzaju tajnego detektywa, stawać się odpowiednikiem dzisiejszego filmu sensacyjno-kryminalistycznego — i to programowo, z całą premedytacją... Musiał też płaskim błazeństwom często gęsto dawać miejsce obok Szekspira, Moliера i Schillera.

Uderza jednak w dziejach starego teatru warszawskiego rosnący z każdym rokiem rozpęd wzwyż, gdy dzisiaj bywamy świadkami ewolucji wprost przeciwnej: od dramatu do kabaretu i od komedii do pseudo-opery.

Jeszcze jeden czynnik, obecnie wykorzystany na pozór doszczętnie, łączył dawniej scenę z widownią: mianowicie — zapal patriotyczny. Kontuszem i mundurem ułańskim wzruszano się jakby sztandarem państwowym. Ten naturalny, żywiołowy a zdrowy entuzjazm na widok nierozłącznych z natury godeł państwowych i znaków narodowych nie stanowił wyłącznie cechy polskiej z okresu niewoli, jak to mylnie rozgłaszano, Ucisk zaborców potęgował go, lecz nie stwa-

rzał, bo odruchy pokrewne istnieją również w narodach, które nigdy niewoli nie zaznały.

U nas z dziwaczną zapalczywością część krytyki gasi od lat kilkunastu każdy zbiorowy błysk patriotyczny, jako rzekomy *fe-tyszym* niewolniczy. Słowo „narodowy“ staje się czymś wstydliwym... Karczowano je prawie tak samo, jak za cenzury cudzoziemskiej.

Wskutek tego dla młodzieży dzisiejszej stał się niezrozumiały dawny gorący stosunek do aktora, który — jak np. Frenkiel — oprócz uznania za artyzm zdobywał przywiązanie za swojskość. Wartość teatru jako czynnika bezcennej, bo żywiołowej propagandy państwowo twórczej dzisiaj zmniejszyła się do zera z powodu celowego wyjałowienia w masach entuzjazmu patriotycznego, bez którego taka propaganda jest jak paliwo bez płomienia.

A jaki dawniej wytwarzał się nastrój — niech świadczy urywek z recenzji Władysława Rabskiego o pierwszym przedstawieniu fredrowskim w roku 1924 w Teatrze Narodowym, gdy się jeszcze zdawało, że takie miano należy koniecznie dać w wolnej Polsce dawnym Rozmaitościom, jako artystyczne „virtuti militari“ za okres niewoli:

„Śmiałem się jak żak, miałem ochotę wskoczyć na scenę i całować ludzi fredrow-

skich, ale nie mam wcale zamiaru zastanawiać się nad tym, dlaczego chciałem pożyczyć pieniędzy Orgonowi i Birbanckiemu, kopnąć Łatkę w plecy, a Twardosza chwycić wpół i tańczyć z nim od ściany do ściany, ażbym go rozgniótł i roztrząsł... Ja dziś nie chcę być literatem i czuję tak, jak dzieckiem będąc — śmiałem się do ułana na obrazku i ciągnąłem za brodę karczmarza i nosiłem za Orgonem torbę na polowaniu i krzyczałem z radości, że goście jadą i będzie śmigus jak się patrzy! Czy ja wiem, co się stało? Czy ja wiem, dlaczego mi żal *tamtej* Polski i dlaczego wczoraj grało mi serce, jak szpienet babuni... Gdyby tak można jeszcze ścieśnić rozmiary sceny, dać jej *więcej* prymitywizmu i zbliżyć ludzi do rampy — „Dożywocie“ wczorajsze byłoby cudem sztuki narodowej“.

Jednocześnie padały inne hasła i poglądy. Znamienne brzmią one w zestawieniu z poprzednimi. Na przykład Jerzy Sosnkowski tak wołał w „Tygodniku Illustrowanym“:

„Świat stoi pod wielkim sztandarem, na którym wypisano: *novus!* Grecki teatr był niedoskonały i ubogi. Bo jakże? Teatr, ten król sztuk uniwersalny, dlatego że jest *zharmonizowanym konglomeratem kwintesencji wszechmuz* (rzeźba, malarstwo, architektura,

śpiew, muzyka, poezja, taniec, a nawet — jak dziś — czynników więcej: sport, ekwilibrystyka itd.) i jeśli przemawia, to przemawia *stąd* *usty*, nagle pozbawiony jednej z najpotężniejszych — malarstwa? — Dekoracja nigdy nie przestanie być *najistotniejszą* cechą widowiska“ itp.

Wobec tak biegunowo sprzecznych dążeń, jakich próbkę powyżej przytoczyłem, kierownictwo teatru staje nieraz wobec istnej kwadratury koła. Atoli jedna jedyna wartość w zmiennym klimacie teatralnym nigdy się nie deprecjonuje: mianowicie — wielki talent aktorski.

Dlatego też o Frenkla ubiegali się tak samo reformatorzy, jak tradycjonaści. I jeśli nieodżałowany artysta nie grał nigdy wśród sprzętów *malowanych al fresco* na ścianach scenicznych, to tylko dlatego, że sam dawał pierwszeństwo meblom realistycznym.

Był bowiem realistą z krwi i kości, acz uduchowionym, ten barczysty, postawny mężczyzna z rasy, którą pędzłem utrwalał jego rówieśnik i przyjaciel, Stanisław Lentz. Zewnętrznie i wewnętrznie odpowiadał Frenkiel wszelkim teoretycznym wymaganiom, jakie się stawia talentom liryczno-komicznym. Ta góra ciała, ta masywna bryła materii — ujawniała mimiką tak zwiewną czułość, tak

delikatną nieśmiałość lub tak dziecinnie mądrą dobroć, że aż wzbudzała śmiech — do łez najszczerzych.

Wszędzie, gdzie cechą fundamentalną postaci komediowej była dobroć, Mieczysław Frenkiel tworzył arcyrolę. Ilekroć brakło dobroci, załamywał się, co prawda z lekka, lecz dosyć, aby spaść z własnej wyżyny. Takich zachwiał się pamiętam tylko dwa: w panu Lechat („Interes przede wszystkim“ Mirbeau) oraz w Wojewodzie z „Mazepy“.

Tę ostatnią rolę powierzyliśmy mu na otwarcie Teatru Narodowego, ażeby spełnić marzenie, które żywił od młodości. O dramacie bowiem romantycznym, o „Zbójcach“ i o „Mazepie“ śnił od dzieciństwa ten polski tytan komizmu.

Jak zwykle spełnienie marzeń przyniosło zawód i tym razem... Głównie dlatego, że w rdzeniu Wojewody duma jest fundamentem niewzruszonym. Nawet potęga lirycznego komizmu Frenkla nie mogła przebudować tego kamiennego magnata, tak jak z kamiennej duszy groszoroba francuskiego Lechat nie mogła wykrzesać ani jednej iskry serdecznego uczucia.

Za to jego „Cyrano“ porywał. Tryumf miłości nad miłością własną, ryk bestii ludzkiej, poskromionej przez człowieka w sobie

samym, tkliwość ukryta w szorstkości karykaturalnej — wszystko to oddał Frenkiel z prawdą tak przejmującą, że się zapominało o całym świecie, nie tylko o dekoracjach, bo, zapewniam, że wtedy przestawały być one „najistotniejszą cechą widowiska“.

Swoje ostatnie dwie nowe role grał Frenkiel w sztukach polskich. Uroczy po prostu był jego Siekierka w „Spadkobiercy“ Grzymała-Siedleckiego, ten szpakowaty szlachetka z jaśniewielmożną radością życia w duszy, na wpół dziecinnej. Śpiewką ułańską i szklaną dałby się zaprowadzić taki Siekierka do piekła, ale by stamtąd wrócił, zmieniawszy smołę w małmazję, wszystkich zaś diabłów zapędziwszy do mazura... A nie zdarzyło się *nigdy*, żeby śpiewkę: „Jeszcze jeden mazur dzisiaj“ Frenkiel zanucił bez braw przy otwartej kurtynie i to braw równie głośnych jak w „Zemście“ przy odwiecznym Cześnikowym „Nie wódź mię na pokuszenie, ojców moich wielki Boże...“

W „Żeglarzu“ Szaniawskiego odniósł niezwykły sukces artystyczny grą skupioną, dyskretną i na wskroś „wewnętrzną“. W tej niepospolitej sztuce Frenkiel jako Żeglarz asystował przy wznoszeniu pomnika — swojej własnej legendzie i w końcu odkrył głowę przed monumentalną bajką zamiast od-

kryć wszem wobec szarą i małą prawdę życia codziennego.

Kiedy piszę te słowa, mam wrażenie, że z Frenklem działa się właśnie wprost przeciwnie niż z owym Żeglarzem: jego nie upamiętnił dotąd nikt stosownym do zasługi monumentem, lecz za to na cmentarzu odkryliśmy głowy przed *prawdą*, a nie przed jej wybujałym cieniem.

JAŚNIE PAN AUTOR
(JÓZEF WEYSSENHOFF)

Postać Józefa Weyssenhoffa wspominam najczęściej na tle związku pisarzy Orła Białego, gromadzącego najświetniejsze pióra polskie i powstałego w najcudowniejszej chwili dziejów po to, aby po krótkim wzlocie upaść i zgasnąć z chyżością me-teoru.

Widzę we wspomnieniu urodziwą, chociaż nalaną, twarz senatorską Weyssenhoffa obok patriarchalnej brody i rozżarzonych przekornie oczu Aleksandra Świętochowskiego... Nie opodal — płowa czupryna i bławe, Bóg wie gdzie zapatrzone oczy Władysława Reymonta; krępy, pewny siebie Andrzej Niemojewski swadą sejmikowicza zagłusza jakieś protesty, a Grzymała Siedlecki z miną statysty czyha na przerwę w tumultcie, by rzucić w nią lotny żart.

W tych cudownych czasach, gdy zaledwie *onegdaj* wygnano Niemców z Warszawy, a *wczoraj* świętowano złączenie Polski z Wielkopolską, wszystko zdawało się cudem i było jakby prześwietlone jutrznią.

Urok podobnej chwili opisał niezrównanie Leon Daudet we Francji, naszej drugiej ojczyźnie:

„Nadzieja w całej potędze wschodziła nad pobożowiskiem, najbardziej patetycznym w dziejach nowożytnych... Francja lśniła jak jędrny owoc na twardym konarze zwycięstwa. Jednak w owocu już był robak: republika...”

Gdyby zastąpić *Francję* — *Polską*, można by przysiąc, że to napisał nie Daudet, ale Weyssenhoff.

Nieco wcześniej miałem sposobność dopomóc Weyssenhoffowi do załatwienia w Ministerstwie Sztuki i Kultury pewnej sprawy, na której bardzo mu zależało.

W podzięcie (jakże hojnej i niezasłużonej!) przysłał mi list na wytwornym w swej skromności *wattsonowskim* papierze z takim adresem:

*Do rąk własnych kochanego Kolegi
Stanisława Miłaszewskiego.*

Wewnątrz był następujący wiersz:

*Kiedy Bóg, mściwy za przedwieczne winy,
Raził piorunem gniewu bryłę ziemi,
Gniew poszedł ogniem przez jaskiń szczeliny
I zastygł w głębiach żyłami złotymi —*

*I odtąd ziemia nasza jest bogata,
I odtąd złoto jest przekleństwem świata.*

Józef Weyssenhoff)*

28. 11. 919.

Nienawiść do tego kruszcu wzmagala się w znakomitym pisarzu proporcjonalnie do stanu jego pugilaresu: o ile był należycie wypełniony papierowymi namiastkami złota, traktował je raczej życzliwie i puszczał w świat szcudrobliwą a roztargnioną ręką.

Lecz gdy w przegródkach zaczynała się „chuda fara” — wtenczas piorunami gniewu walił Weyssenhoff po olimpijsku w nędzny a buntowniczo nieuchwytny kruszec. Sekstyna, którą mnie raczył ofiarować, to tylko mała częśćka tych natchnionych inwektyw, jakie na pieniądź wyzionął w ciągu lat...

Po wielkopańsku oblał szampanem premierę mego „Farysa” w Bydgoszczy, czyniąc, jako stały naówczas jej mieszkaniiec, honory domu (a raczej grodu!) mnie, przelotnemu gościowi, oraz leciwej piękności, grającej główną bohaterkę w sztuce i podczas kolacji.

*) Weyssenhoff w tym epigramacie utrzymanym w stylu pseudoklasycznym posługiwał się oczywiście symbolami konwencjonalnymi piorunowładnych bogów Olimpu, a nie Boga chrześcijańskiego. Użycie dużej litery jest tu po prostu nawykowym odruchem.

Nieśmiałe przypomnienie odwiecznej maksymy, że „*jak jest, to szelest, a potem skweres*“, Weyssenhoff zbył beztroskim uśmiechem, mówiąc:

— Wie pan, przykrości całego długiego życia nie zdołały mnie przekonać, że pieniądze istnieją jeszcze na coś innego, niżli na wydawanie ich dla przyjemności.

Mieszkanie Weyssenhoffa zarówno w Bydgoszczy na Zaciszu, jak później w Warszawie na Bagateli, miało charakter swoisty: coś z buduaru, coś z wystawy łowieckiej i dużo z biblioteki, zaopatrzonej w dział numizmatyczny. Wielki poeta lasów i myślistwa lubił żartować, że tylko *stare* monety trzymają się go jako tako...

Nie było to ściśle: szacowne krażki z podobiznami Piastów, Jagiellonów i Wazów toczyły się z Zacisza w gwarny świat nie gorzej od współczesnych złotych... A na Bagateli — w ostatnim mieszkaniu Weyssenhoffa — dział numizmatyczny zupełnie się zdemokratyzował: królewskich dublonów i talarów już nie było; zostały tylko papierowe banknoty kościuszkowskie... Na jednym z nich był charakterystyczny w swej ubogiej symbolice napis: „20 groszy miedziane“.

Gabinet Weyssenhoffa miał w kątku sanktuarium, gdzie stały pamiątkowe fotografie, przeważnie kobiece.

Weyssenhoff często i w różnych okazjach wypowiadał swoją niechęć do kobiet zdobywczych i awanturniczo-tragicznych, ofiarujących mu się tuzinami na heroiny powieści. Nie lubił w nich tego, co nazywał „kosmetyką psychiczną“. Zdaje się, iż żadna z ofiarnych kandydatek na bohaterkę nie odegrała — poza przelotnym epizodem — żadnej roli w jego literaturze.

Miał natomiast ten *jaśnie pan autor* wybitny pociąg do kobiet prostych, które poddają się miłości — z pokorą, nieomal po pańszczyźnianemu.

W nich widział i sławił ostatnie Mohikanki kobiecości prawdziwej, nie zepsutej przez kulturę. Takie kobiety, którym wiatr służy za fryzjera, a łąki za perfumeryę, nazywał *spadkobierczyniami typu Ewy*. Twierdził, że one właśnie są utęsknieniem każdego prawdziwego mężczyzny. Typowi takiej wiejskiej Ewy postawił żywy pomnik jako Warszulce z „Sobola i Panny“.

I otóż znowu ujawnia się rys podobieństwa między Weyssenhoffem a Leonem Daudet, tym razem nie w dziedzinie polityki, ale erotyki. Tak jak Weyssenhoff nową Ewę,

tak samo Daudet odkrył nową Fryne wśród prostego ludu.

W swoim pamiętniku literackim pod tytułem „Paris vécu“ („Paryż w przeżyciach“) opisuje Leon Daudet z prawdziwą ekstazą piękność prostej dziewczyny poturbowanej z lekka przez konny wóz, spod którego Daudet ją wyciągnął na przedmieściu Paryża.

W komisariacie poddano ofiarę oględzinom w obecności komisarza policji, lekarza, czerwonego z emocji stangreta, sprawcy katastrofy i — oczywiście zbawcy. Gdy z posłuszeństwem pokornym zrzuciła ubranie, wszyscy mężczyźni — bez względu na wiek — doznali nagłego olśnienia... Była kształtna, jak najpiękniejsza grecka amfora, a z jej ciała ulatał przyrodzony, a nie sztuczny, zapach tymianku i dzikiej róży. Była tak uroczą, że podstarzały komisarz, stwierdziwszy, że jest tylko z lekka posiniaczona, powiedział do niej: „Niech pani się ubiera!“ — takim tonem, jakby wyznawał: „Ubóstwiam panią i żyć bez niej nie mogę“.

Czyż ten opis nie wygląda, jakby był żywcem wyjęty z kart „Pamiętnika Literackiego“ — ale Weyssenhoffa, nie Daudeta?

„Pamiętnik“ ten jest wspomniany dosyć charakterystycznie w liście Weyssenhoffa do mnie, datowanym 15. I. 1927 z Bydgoszczy:

„...Otrzymałem dzisiaj recenzję o moim „Pamiętniku Literackim“ w *Wiadomościach Literackich*, o której kilka osób mi mówiło, parę obiecało przysłać, a Pan tylko przysłał. Dzięki za koleżeńską uczynność...”

Jednak tą koleżeńską uczynnością odznaczał się przede wszystkim — on sam. Świadczy o tym wymownie następujący list koleżeńsko-ojcowski do mojej żony z Bydgoszczy 20. I. 1928 r.:

Szanowna i bardzo miła Pani!

Od początku roku wędruję ciągle; byłem dużo mniej w Bydgoszczy, niż gdzie indziej. Dlatego stosunkowo późno otrzymałem darowane mi przez Panią książki, a dzisiaj dopiero skończyłem je czytać.

Serdecznie winszuję Pani. Wyznam, że oprócz paru nowelek, napotkanych w pismach, przeczytanych mniej uważnie, pierwszy to raz obcowalem z Panią, jako autorką przez czas dłuższy, i nabrałem do Niej, oprócz dawniejszej „inklinacji“ — rzetelnego respektu.

Wprawdzie zdążyła już Pani wydać kilka tomów (chyba po dwa na rok?) — ale tego dokonali i inni w Jej wieku, a przecie dzieła ich, takie lub owakie, trącą często surowizną. Tej surowizny nie zdybać

w tomie „Pierwsza Miłość“. Piękna Koleżanka wzrusza się, jak panienka, myśli po akademicku, a pisze jak stary.

Choć pali się do życia i do sztuki, nie szuka ani w pierwszym, ani w drugiej koniecznie „dróg nowych“. Nie naśladowując nikogo, przestrzega odwiecznych kanonów sztuki. Nie chce zadziwiać, lecz wypowiedzieć się do głębi. Taka metoda doprowadza jednych do twórczości banalnej, innych do arcydzieł. Nie wątpię, że bujny, sprawny i już pięknie wyrobiony talent Pani zaprowadzi Ją na tę drugą, szczytną drogę.

Widzi Pani, że piszę pośpiesznie, bo nawet skreślam i poprawiam wyrazy — co mi, jako starszemu i bardzo życzliwemu koledze zostanie chyba wybaczone. — Nie mogę zatem rozwodzić się nad poszczególnymi nowelami. Jeżeli którą mniej lubię, niż inne, to z powodu tematu, bo nawet taki stary pisarz, jak ja, ma swe ulubione tematy i wybór ich wpływa na sąd o utworze, — czyli: sądzi trochę, jak klubowiec, albo kucharka. Ale tematy Pani tak rozmaite (np. skala od „Balbiny“ do „Sprawy kryminalnej“) są wszystkie wykonane świetnie i con amore.

Koniecznie muszę się o tem wszystkim z Panią rozmówić — mam dzisiaj zbyt mało

*czasu na dobitne sformułowanie myśli —
przesyłam tylko echa radosnych wrażeń
i serdeczną podziękę.*

Z ucałowaniem rączek i poważaniem

Józef Weyssenhoff

*P.S. Serdeczny uścisk dłoni dla Pana
Stanisława. Jego Don Kiszot równie pięk-
nie dzwoni polskim wierszem, jak Don
Žuan — Don — Don! Czytałem próbki
w Myśli Narodowej.*

*

Rozwojem talentu Wandzi, Weyssenhoff interesował się wytrwale i stale. W jej „Czarnej Hańczy“ lubował się po prostu, podnosząc wdzięk opowieści, siłę i prawdę opisów przyrody, z którą autorka istotnie potrafiła żyć „za pan brat“. Wyróżniał też i chwalił jej rasową polszczyznę.

— Jeden mam tylko poważny zarzut do zrobienia — rzekł raz na zakończenie rozmowy — i jeśli Pani mnie nie usłucha, to się pokłócimy: proszę *nigdy* nie używać wyrazu „niesamowity“ — bo to nie po polsku, lecz po rusku. Pochodzi od „nesamowityj“...

W dbałości o czystość mowy był nieubłagany. Wiem od Adama Siedleckiego, jak bolało Weyssenhoffa, jeśli on sam nieściskość językową popełnił.

Raz, w podróży, nazwał drogę do Skierniewic *skierniewicką* zamiast *skierniewską* i zażarcie obstawał przy swoim. Dopiero wobec wyroczni z ust ludowych uznał swoją omyłkę i wykroczenie mimowolne przeciwko tradycji w mowie.

Niewymowną radość sprawił Wandzi, obdarowując ją „Puszczą“ w nowym wydaniu z taką dedykacją:

Pani Wandzie Miłaszewskiej, jako częściowe wywdzięczenie się za szereg danych mi Jej ślicznych utworów

przesyła i ofiaruje serdecznie

Józef Weyssenhoff

Warsz. 5. I. 1931.

*

Miałem zaszczyt 23 maja 1932 r. na jubileuszowym obchodzie *czterdziestolecia* pracy pisarskiej Józefa Weyssenhoffa przemawiać w jego obecności ze sceny Teatru Wielkiego do tłumu ludzi na widowni w następujących słowach:

Józef Weyssenhoff wszedł do literatury od razu przez główne drzwi. Ten Mistrz ani przez chwilę nie był czeladnikiem.

Wniósł on do piśmiennictwa odrębny, nowy — u nas — rodzaj literacki — mianowi-

cie satyrę, utajoną w pozornym panegiryku, sławny „Żywot Podfilipskiego“.

Weyssenhoff ze słuszną dumą sam stwierdził w „Pamiętniku“, że jako autor poematu powieściowego „Soból i Panna“ ma w Polsce dziadów i pradziadów, ale nie ma ojców w poprzedzającym go bezpośrednio pokoleniu polskich literatów.

Później z biegiem lat — podnoszono — i słusznie — pokrewieństwo Weyssenhoffa z Kochanowskim i Mickiewiczem w doskonałości języka oraz w opisach przyrody. Ale jako satyryk ma on w prostej linii praszczura chyba w Ignacym Krasickim, u którego znajdujemy jak gdyby daleki, cząstkowy prototyp Podfilipskiego:

*Dopieroż tym triumfem głupiec uwielbiony
Łże, bredzi, decyduje, a w zgrai nacisku
Odbiera plauz mądrości i ma sławę w zy-
[sku.*

*Pomimo Niesieckiego, — sławny ante-
[naty*)*

Stryjeczne i cioteczne liczy majestaty...

*

Po kądzieli wywodzi się Muza Weyssenhoffa z tej najszczerzej a bezimiennej poezji, jaką w prawdziwe życie wnoszą prawdzi-

*) Czyli: sławny antenatami, przodkami.

we kobiety. Swoisty jest do nich stosunek Weyssenhoffa. W najjadowitszej nawet satyrze... (choć nie, satyra jego nigdy nie bywa jadowitą!) ten mistrz trafnego strzału bije bez pudła ostro i nieomylnie, lecz nigdy nie podnosi do oka broni z kulą dum-dum.

Zwłaszcza nad kobietami Weyssenhoff nigdy się nie pastwi. Nawet kiedy maluje postacie ujemne, znać po nim, że z *utajonym* bólem używa ciemnych barw. Nigdy tu nie czuć tej satysfakcji, tej werwy złośliwej, jaka tryska mu spod pióra, gdy krytykuje mężczyzn. Surowy i sprawiedliwy sędzia — swoje *podstępne* potępia, ale ich nie wyszydza. Widzi i karci w kobietach potwory, lecz cudactwa, ani pokraczności nie wyprowadza z nich z lubością na jaw, — raczej przemilcza po rycersku, co tylko przemilczeć się da bez uchybienia prawom sztuki.

Nawet najgorsza z awantur — z jednym tylko wyjątkiem — nie występuje w powieści jako bezwzględne zło, ale jako śmiertelny — jakże jednak żywy! — grzech.

Satyra Weyssenhoffa ogarnia świat bogactwa i blasku, przychwycony genialną spostrzegawczością na gorącym uczynku swojego istnienia — świat głupstwa, obsłużonego przez rozum, świat rozkoszy obróconej w nałóg i zażywanej przez jednych wymyślnie, a przez innych bezmyślnie.

Smakując przyjemności, osiąga język Weyssenhoffa mistrzostwo. Skosztował słodczy życia, jak niewielu, wypowiedział się o nich — jak nikt. Od lat 40 ocenia to cała Polska, chociażby trochę jaśniej oświecona. Okres prawie półwiecza wykazał *próbą czasu*, jak wielką słuszość mieli ci, którzy się lubowali stylem znakomitego pisarza od pierwszej jego książki.

*

Weyssenhoff puszcza płazem tylko to, na co szkoda ostrza; zachowuje wytworność nawet w pogardzaniu. Nie ma tu niedomówień lub przemypanych półgębkiem złośliwości. Jasność idzie o lepsze z ciętością, zarówno w portretowaniu figur swojskich jak obcych. Galerii karykatur europejskich godny jest istny klejnot: eks-król Venecueli*) na bezterminowym urlopie, Filip XIII, który tłumi skarby miłości dla swego ludu, tańcząc przy cygańskiej kapeli — na statku „Dieu ma-foi“ tak ochoczo, iż Baranek Złotego Runa przewracał mu na piersi wesołe koziołki.

Na innym tle — typ swojski, sarmata, wy-ciosany z granitu, nieprzepuszczalny na wpływy, jak palto deszczochronne, posągowy, niby żyjący antenat — pan Dubieński, herbu

*) Z powieści „Syn marnotrawny“.

Dąb z godłem „Bóg mię złamie, ludzie nie zegną“. Ten zbiera skrzętnie dobra doczesne w przekonaniu, że siła pieniędzy nie tylko staje się źródłem siły moralnej, ale może tę ostatnią skutecznie zastąpić. Dostraja on etykę chrześcijańską do potrzeb większej własności ziemskiej. Nie zestarzał się do dziś — znamy po latach jego *dzisiejszy* adres polityczny i patriotyczny.

Paroma wybornymi zestawieniami — każde z innego ogródka — wybija autor dwuznaczność tej postaci i jej atmosfery.

*

Patriarcha Dubieńskich to osoba syntetyczna. Ma coś z junkra pruskiego, choć do polskiego obyczaju krwią i nałogiem jest wdrożony. Przypomina innego Rzymianina polskiego — papę Pławickiego z „Rodziny Połanieckich“ Sienkiewicza — lecz góruje nad tamtym utracjuszem niezaprzeczoną użytecznością społeczną. Gesty obydwu podobne, uczynki różne. Egoizm bowiem dubieńszczyny ma tę zaletę, iż stwarza koło siebie duże pole pracy. To jest raczej krew Milczka z „Zemsty“ fredrowskiej. Ich dwór to — bądź co bądź — *stolica* okolicznych wiosek, cel dążeń chłopskich, pierwszy dla nich wzór żywej kultury. Żylasta, dorobkiewiczowska energia gospodarcza dziedzica to dalszy ciąg

instynktu bystrzejszych włościan, przyszlých polskich *fermerów*. Siedziba dubieńszczyzny nie jest tylko schroniskiem dla zbankrutowanych członków rodziny, czym był dziedziczny Krzemień dla typu Pławickich. Tutaj *eugenikę* finansową uprawia się systematycznie. Racjonalizacja zaś doboru małżeńskiego i rozplodu polega — jak w rasowej stadninie — na opanowywaniu zapędów jednostkowych, co sprawia, iż krańcowy na pozór konserwatyzm wiedzie wprost do ultra-nowoczesnej metody hodowania ludzi jak zwierząt.

Ród ten zyskuje — bądź co bądź — na zestawieniu z Podfilipszczyzną, której globtroterstwo przerabiało — według Weyssenhoffa — karmazynową szlachtę naszą „w cieplarnianą florę, nie zanurzoną w grunt swojski, w jakąś koterię, iluzorycznie wywyższoną ponad własną ojczyznę... Niebezpieczne zaś, a szeroko rozgłaszane hasło: — arystokraci wszystkich krajów łączcie się! — mogło wpływać na zatracenie cech *narodowych* i sprzyjać przerobieniu arystokracji w ordynarną plutokrację“.

Pomimo antypatii osobistej, rzetelność dziejopisa obyczajów kazała Weyssenhoffowi uwydatnić w groszorstwie przedwojennego typu znamiona dodatnie. Przenikliwy satyryk ani na chwilę nie przestał być wrażliwym na wartości społeczne obywatelem.

Na skarcenie bezwzględne wydany został werwie satyrycznej Weyssenhoffa tylko pan Podfilipski, kosmopolita, wieczny tułacz dobrowolny, przekupień narkotyków, pseudo-kultury i trucizn przytępiających głos rasy.

Podfilipszczyzna — odradzająca się dzisiaj w kształcie zreformowanym — czeka znów na swojego Weyssenhoffa.

*

Zbierając miody nawet z chwastów, znakomity pisarz — wedle własnego wyrażenia — hołdował zasadzie, że najwyższa literatura ma na celu *piękno* nie abstrakcyjne, lecz *piękno* dobroczynne.

Droga satyryka wyższej miary zawsze się krzyżuje z mnóstwem szlaków krzywych, dlatego iż wyznacza *prosty* kierunek ideom.

W górach, gdzie są wieczne śniegi, nie wolno w miejscach bardzo stromych rozmawiać, aby falami głosu nie wprawić lawin w ruch.

Otóż satyra w wielkim stylu — to krzyk mocny, urywany, ostrzegawczy, nakazujący ściszyć nieobyczajne hałasy wobec lawin niewidzialnych dla wzroku — zaślepionego.

Taki krzyk ostrzegawczy może i sam przyspieszyć katastrofę, lecz tylko wówczas, jeśli wydany był za późno. Rzucony w porę, zabezpiecza przed egzekucją żywiołową.

Takim niebezpiecznym, ale zbawczym sygnałem bywał szereg utworów Weyssenhoffa.

W „Dniach Politycznych“ zwrócił się on frontem krytycznym ku swoim współwyznawcom ideowym, ku nieładowi ich organizacyjnemu. W „Unii“ przekładał Litwinom samobójczość ich antypolskiej postawy. W „Gromadzie“ urealnił typ „przyszłościowy“, typ chłopaka obywatela, nie tylko pełnoprawnego, lecz i pełnoobowiązkowego.

W „Hetmanach“ użył patosu tragicznego, przewidziawszy doniosłość podziemnej zmowy antypolskiej. Wydobył na jaw postacie, które podówczas wydawały się nieprawdopodobne, ale następnie spospolitowały się, niestety.

Osobliwością „Hetmanów“ jest jeszcze i to, że występuje tam kobieta całkowicie zła. Unikat w twórczości Weyssenhoffa! Pojawienie się tego niewieściego Kaina poprzedziło — szczególny traf! — urodziny najjaśniej w słońcu jego talentu pokazanej kobiety — tej Warszulki, w której się rozkochały u nas na umór, choć platonicznie, wszystkie stany.

*

Jak to się stało, że Warszulka z „Sobola i panny“ zakrótowała wśród kobiet Weyssenhoffa, ona, analfabetka z pańszczyźnianego

prawie środowiska? W czym leży jej odrębny urok? Że ma znamiona wiecznej kobiecości? Tak, lecz pod tym względem nie jest wyjątkowa. Nasz autor umie dobywać z kobiet tę „wieczną kobiecość“ nawet w przelotnych romansach literackich, czy nowelach...

Józef Weyssenhoff, najbardziej męski u nas pisarz, jak go określił znakomicie Grzymała Siedlecki, odczuwa „żeńskość“ w bardzo rozległej skali. Warszulka stała blisko nizin: może dlatego właśnie zdołała się wznieść miłosnym porywem aż do wyżyn uczucia, gdzie wielkość i prostota znaczą jedno i to samo.

Warszulka bez cienia chytrości gotowa poddać się kochanemu mężczyźnie — ulegle, nieomal niewolniczo... Ale on, choć rozgrzany pożądaniem, wzbrania się... Czy przez skrupuł etyczny — jak napomyka autor w oficjalnej niejako wersji powieściowej?

Nie bardzo w to wierzymy. Raczej podejrzewamy, że młody człowiek broni się przed miłością prawdziwą, bo do takiej nie dorósł jeszcze sercem. Nastreńczona przez łatwą okazję miłostka z inną — prawdziwie pańszczyźnianą dziewczką — i szereg emocyj myśliwskich ułatwiają Rajeckiemu pohamowanie zmysłów. Poza tym lęk przed skandalikiem towarzyskim w razie mezaliansu sprzyja „rozsądnej“, abstynenckiej tym ra-

zem postawie p. Michała Rajeckiego. Postawy tej żałować będą i on, i oczywiście Warszulka... Bo są uczucia tak mocne, że jeśli nawet ich nie wcielić w życie, to istnieją *obok* niego — upiornym bytowaniem. I na tamto, niby to *rzeczywiste* życie rzucają cień „tym dłuższy, iż padnie z daleka“.

*

Na takim skojarzeniu światła i cienia w życiu twórczym Weyssenhoffa ktoś jednak zyskał... Kto? Polska literatura! — Tragiczność, choćby nie dopowiedziana — to nieodzowny wtór do każdej sielanki miłosnej, jeżeli ma się ona utrwalić w piśmiennictwie jako arcydzieło. Bo nawet i w Arkadii sielanka zawierała oprócz miłości — śmierć... Dafnis i Chloe zginęli młodzieńczo... W „Sobolu i pannie“ na śmierć poszła — młoda miłość. Może dlatego tym bujniej bije życie w nas, w czytelników, z tego poematu miłosnego...

Autor sam nazywa w „Pamiętniku“ „Sobola i pannę“ poematem, w którym przeżywał po raz drugi młodość — z jej szczytnymi — jak się wyraził — naiwnościami.

Nie według wszystkich są to naiwności.

Motyw męskiego wyrzeczenia się miłości odwzajemnionej był już w „Sprawie Dołęgi“. Ale tam działacz społeczny zrzekł się kochanej kobiety w usprawiedliwionej obawie, że

mu obciąży rozkosznym balastem szczęścia jego ruchliwą działalność ideową. Dołęga ma wytkniętą drogę i wie, że — *sprawniej* ruszać się na niej będzie sam. Toteż jego wyrzeczenie ma patos *ofiary*.

Podobnie byłoby z Michałem Rajeckim w „Sobolu“, gdyby wyrzekł się panny z pobudek ideowych, przejąwszy — na przykład od ks. Lelejki jego teorię o przewycięzaniu miłości zmysłowej celem przerobienia energii zwierzęcej na czysto duchową. Ale tak? ...dla sugestii konwenansu? ... dla rozsądku, który miewa wybiegi pokątnego doradcy? ...Szkoda! Stanowczo dla wielu z nas miały słuszność klójące się z rozsądkiem Rajeckiego drozdy, gdy cmokając z litewska raiły Michałowi Warszulkę... I miało też rację kwitnące żyto, kiedy go odurzało *jej* zapachem!...

Dlatego głos Warszulki — nie wypowiedziany, zaparty w gardle, ścigał Michała aż do drzwi, a potem długo jeszcze, długo przez życie...

*

Po „Sobolu i pannie“, po rozkoszy poety — wracał Weyssenhoff parokrotnie na drogę satyry dydaktycznej. W „Cudnie“ oraz „Nocy i świcie“ odżyła ideologia „Hetmańska“.

Następnie Weyssenhoff brawurowe karty rzucił w twarz mętom wielkomiejskim

z „Ulicy“. Potem w „Janie bez ziemi“ dał bystry, kolorowy szkic życia ziemiańskiego w powojennych warunkach. Lecz całym sercem po „Sobolu i pannie“ wypowiedział się w „Puszczy“, swoim arcydziele.

Tu znowu wszystko jest poezją: drzewa, zwierzęta i ludzie. Ten lis, który pod uśpio-nym obozem wynurzył z paproci swoją łaj-dacką mordę i przeklął śpiących rozdrażnio-nym szczeknięciem, iż nic przy sobie nie mieli... Ten ryś w ośrodku skwarnej, nie przewianej nawet przez burze, gęstwiny; ryś, drgającymi kończynami uszu łowiący przez sen niedosłyszalne dla ludzi szmery mrów-czych łapek albo skwierczenie żywicy na upale... Te dziki i głuche ich — jak *grzmoty przez sen słyszane* — pochody na ściętej przymrozkiem ziemi! Ten zwierzyniec ma-jący wartość ogólnoludzką. Ten las ze swym ludem, inaczej cudny w każdej porze roku... I to wietrzenie w jego woniach wszelkich za-duchów miejskich — z nerwów, serca, mó-zgu... I zmyślane z humorem leśnym „kruko-dziely“, i wreszcie arcypoeemat z głuszcem i strzelcem — jako bohaterami — oto praw-dziwa korona twórczości Weyssenhoffa, ży-wa i odnawiająca się co roku, jak te korony, którymi w puszczy szumią drzewa.

**OSTATNI RZYMIANIN
W POLSCE**
(KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI)

Przed dziesięciu laty, zimą 1928 roku, przyszedł do mnie następujący list Karola Huberta Rostworowskiego:

Łaskawy i kochany Panie!

Przedewszystkiem mea maxima culpa! Ale piszę przecież do kolegi i ufam, że wystarczy (tu) parę słów: piszę nową sztukę, więc jestem niepoczytalny, dzięki czemu dopiero teraz, z nieklamana radością przeczytałem Pańskiego rozkosznego Farysa. Rozkosznego, bo tak smacznie i celowo romantycznego, no i napisanego tak nieskazitelnym wierszem.

Tylko te „nieśmiałe holdy“ w dedykacji odsyłam Panu z powrotem. Resztę, a więc utwór Pański, pamięć Pańską o mojej osobie i, powtarzam, radość, że „jeszcze Polska, rdzennie polska, nie zginęła“, pozostawiam wyłącznie dla siebie.

Mam nadzieję, że będę się mógł Panu zrewanżować moją sztuką z czasów rewolucji francuskiej (ba! ale kiedy?) i że w Pańskim domu będzie jej równie dobrze,

*jak Pańskiemu Farysowi jest dobrze na ul.
św. Jana Nr. 20.*

*Łączę serdeczne pozdrowienia — proszę
o więcej, więc o don Kichota, którego nie
mogłem widzieć w Warszawie, gdyż całą
zimę kwękałem — szczerze oddany*

K. Rostworowski

Kraków 30 — I. — 1928.

W tym liście odmalował się Rostworowski cały — od stóp do głów: porywczy, ale po męsku pewny swoich sądów. Umysł jego natychmiast — jak kanclerz — kontrasygnował wyroki, które po królewsku wyposażona wrażliwość poety nieomylnie wydawała.

Przejęty zachwytem dla cudzego dzieła, musiał ujawnić go dobitnie i to nie tylko w formie listu lub rozmowy. Stwarzał nieraz w tym celu sytuacje niespodziewane i rozdeptywał niecierpliwą nogą wszelką konwencjonalność.

Żona moja była raz świadkiem, gdy na premierze „Lampki oliwnej“ Zegadłowicza — tuż przed zaczęciem przedstawienia — wypadł przed spuszczoną kurtynę Karol Hubert i wypalił do zdumionej publiczności płomienią mowę o wartości tego dramatu, który poznał w przeddzień na próbie generalnej.

Sztuki swojej, o której wspomina w liście do mnie, nigdy nie dokończył. Ogłosił tylko

fragmenty. Pokazał tam, niby w tragicznych jasełkach, rzeźnię Wielkiej Rewolucji, „czerwony marsz“ dawnej Francji — pod gilotynę i — przede wszystkim — własną rwącą wściekle werwę:

*Skończymy rozpoczętą grę,
Już wstaje, już się budzi
Córeczka doktora Guillotin,
Uzdrowicielka chorych ludzi...
Choćby kto ukuł narodowy miecz,
Aby wybuchła wojna święta,
Chociażby krzyknął tyranom: — precz!
A ludom: — rwijcie pęta!...
Biada mu, jeśli zwolni biegu!
Wszak rewolucja, to szal...
Przepaść? Nie wolno stawać na brzegu
Temu, co wolność ludowi da!...*

W takim samym spienionym stylu toczyły się i prywatne rozmowy z Rostworowskim; takim też wartkim rytmem bluzgały z jego ust przemówienia publiczne porywające jak wezbrany nurt. Pamiętam powszechny wstrząs, gdy Rostworowski nagle wyskandował z mównicy politycznej takie zdanie przeciwnie tak zwanym „małżeństwom koleżeńskim“ i rozwodom:

— Jeżeli ożeniłeś się ze skrzynią pieniędzy, to na niej — siedź, choćby w niej ani grosza nie zostało!

Wyciągał ze wszystkiego „najdalsze konsekwencje: miał odwagę mówić, tak jak czuł, i żyć wedle tego, co mówił. Było jego zasadą, że „pisarz naprawdę katolicki musi gorliwie praktykować. Dopiero wówczas dzieło jego życia, bez względu na poruszane tematy, będzie przepełnione katolickim duchem“.

W tym *poczuciu jedności*, w tym wymaganiu nieustannej czujności sumienia nawet w drobnych uczynkach — była wielkość Rostworowskiego. Bo jakżeż można by doszukać się inaczej tego „kośca metafizycznego“, bez którego tak zwana *etyka wyzwolona* wydawała się Rostworowskiemu bezkształtną bryłą.

Nie dziw, że człowiek o takim przygotowaniu etycznym zdolny był wyrazić *małość ludzką* w jej całym metafizycznym *ogromie*. Uczynił to Rostworowski już w „Judaszu“.

Judaszowi Rostworowskiego potrzebny był nie Chrystus — Odkupiciel ludzkości dla nieba, lecz Chrystus, który by uległ pokusie władzy doczesnej, uzależnionej od szatana. Judaszowi Chrystus potrzebny był do eksploatacji aktu odkupienia, do ciągnięcia zysków osobistych z ideologii, która by zwyciężyła.

Gdyby Chrystus stał się Mesjaszem-karierowiczem na miarę tęsknot Judaszowych, to Judasz nie byłby Go sprzedał — hurtem

za trzydzieści srebrników; raczej eksploatowałby odkupienie detalicznie, według zasad handlowych, przez jakieś trzydzieści lat, nim by je wreszcie zlikwidował.

Bystre wniknięcie w ogrom małości ludzkiej czyni z dramatu o Judaszu osobiwość. Postać Judasza jest bezwzględnie arcyludzka, niepospolicie pospolita, a tak żywa, iż może się pomieścić w każdej epoce. Stąd bliski do niej stosunek nowoczesnej widowni teatralnej, która z łatwością przystosowuje tego ewangelicznego Judasza do swojej własnej codzienności życiowej, przemieniając go z kramarza palestyńskiego na zamerykanizowanego prezesa pra-trustów albo pra-karte-lów. Przy czym, oczywiście, sklepik jego wyrasta na drapacza nieba, pozostając w gruncie rzeczy tym samym sklepikiem, chociaż śledzie w nim przybierają kształty wielorybów. Judasz Rostworowskiego widzi w Chrystusie nie swego zbawcę, lecz swego kandydata partyjnego.

Swoiście twórczy chwyt przejawia się tu w tym, że Judasz wzbudza wyrozumienie i litosć. Według bowiem Rostworowskiego, w nienormalnych (po grzechu pierworodnym) warunkach życia ludzkiego Judasz byłby zjawiskiem zupełnie normalnym. I w tym jest właśnie tragedia.

Adam Grzymała Siedlecki dosłuchał się w akcji dramatu o Judaszu wpływów tej atmosfery moralnej, jaką wytwarzała rewolucja 1905-7 roku na ziemiach polskich. Znakomity krytyk wykrył, moim zdaniem, właściwszy ślad wiodący do rodowodu literackiego tej postaci. Bo tak jak przeżycia matki mają wpływ na noszone w jej łonie dziecko, tak samo przeżycia autora muszą — podświadomie — kształtować obmyślane przezeń dzieło.

Wprowadzony przez Siedleckiego na trop, zacząłem samoistnie szukać w przebiegu rewolucji 1905-7 roku poszlak bliższych, podobieństw jeszcze konkretniejszych.

W Polsce ich nie znalazłem. Nikt z prowokatorów „swojskich“ nie wydał mi się indywidualnością tak odrębną, by zdołał zwracać uwagę nie tylko swoją zbrodnią, ale i sobą samym i to na dużą odległość, a nie z bliska przy obserwacji bezpośredniej, jaką znać na przykład w „Ludziach Podziemnych“ Andrzeja Struga.

Obserwatorom dalszym, a więc i Rostrowskiemu potrzeba w takich wypadkach dla pobudzenia wyobraźni faktów plastycznie opisanych.

Osobę i fakty, odpowiednie dla koncepcji Judasza, znalazłem za granicą ówczesnego „Przywisłinskiego Kraja“, w Rosji.

Był to pop Hapon, ten sam sprzedajny sługa Chrystusa, który z *krzyżem w ręku* poprowadził rzeszę robotników i chłopów pod pałac carski, niby z petycją do tronu, a w istocie — pod kulomioty żandarmskie i nahajki kozackie, aby przelana krew odstraszała innych od manifestacyj.

Tak! Właśnie ten mizerny pop Hapon, nieznany i tak nagle na cały świat osławiony swą zdradą — czyż to nie krew z krwi i kość z kości Judasza?

A jego pochód z tłumem przez rosyjską stolicę — czyż nie uderza podobieństwem do pielgrzymki rzesz „na Paschę do Jeruzalem“, pielgrzymki, rozpoczętej hosanną i palmami, a zakończonej osaczeniem wiernych przez straż pod przewodnictwem niewiernego?

Oczywiście są i różnice, nawet znaczne, lecz atmosfera i wymiar psychiczny obu zdrajców są pokrewne.

Rzucam więc z przekonaniem domysł, że w rzędzie przodków Judasza istnieje młodszy od niego o 1900 lat — pop Hapon.

Przy pasjonującej metodzie odkrywania widnokrąg się z każdą chwilą rozszerza. A może i „Kaligula“ Rostworowskiego ma także nowoczesnego sobowtóra?

Tak — moim zdaniem — ma! Aliści ten sobowtór jest więcej od Judaszowego skom-

plikowany i mniej „z jednej bryły“ niż Hapon.

Według mnie pozował Rostworowskiemu do Kaliguli po trosze ten sam człowiek, którego portretował Wojciech Kossak, mianowicie — ekscesarz Wilhelm Drugi. Jednak nie sam, ale skombinowany z rosyjskim cesarzewiczem Konstantym, którego przypomniała Rostworowskiemu „Noc Listopadowa“ Wyspiańskiego.

*

Z nizin proletariatu palestyńskiego wchodzimy na dwór cesarza rzymskiego. Lecz i tu będzie nam niezbędna litość. Polemizując z krytykami po krakowskiej premierze w roku 1917, pisał Rostworowski: „Że Kaligula jest niektórym ludziom sympatyczny, to nie moja wina. Że nad Kaligulą większość się lituje — to moja chluba. Bo litości nie trzeba umieszczać tam, gdzie duch spokojny, a umysł na straży godności ludzkiej, ale tam, gdzie brak życiowego dogmatu krwią serdeczną mózg zalewa a mózgiem serce oziębia“.

Niezwykłe to zadanie pokazać sadystę i obłąkańca na tronie, a na krzyk „To jest potwór!“ — odkrzyknąć: — „To tylko człowiek“... i wymusić przy tym na słuchaczu przyznanie sobie słuszności.

Rostworowski tego właśnie dokonał. Pokazał małość ludzką w purpurze cesarów i kazał się nad nią litować tak samo, jak nad małością wyświechtaną szarego Judasza. Wielki psycholog, znakomity talent, przy szekspirowskiej gdzieniegdzie biegłości panowania nad akcją — oto właśnie Rostworowski w „Judaszu“ i „Kaliguli“.

Obydwa omówione utwory wiodły do miłosierdzia. Nie dziw, że właśnie ono, „Miłosierdzie“, stało się głównym motywem następnego dzieła.

„Chrystus ocieka krwawym potem w Ogrójcu, jedenastu śpi, a dwunasty zmawia się z wrogiem...“ Kiedy? Tysiąc dziewięćset lat temu? I wtedy, i dzisiaj, tak samo jak wtedy. — Takie myśli nasuwa misterium „Miłosierdzia“ każdemu, na kim dwadzieścia wieków kultury katolickiej pozostawiło najlżejszy choćby ślad.

Świadomość, że męka Golgoty nie skończyła się jeszcze, że się powtarza w życiu każdego człowieka, że wszystkim nam sądzone jest wziąć w niej udział — faryzejski lub apostołski — świadomość ta żyje w każdym, choćby w tajemnicy na samym dnie jego istoty.

To aktualne wieczyście misterium męki Chrystusowej wprowadził Rostworowski na

scenę teatralną z wielkim umiarem i kunsztem. Ewangeliczna cnota miłosierdzia staje w akcie pierwszym przed sądem nieśmiertelnego Piłata. Spętano i unieruchomiono nawet i ten ostatni ślad Boga na ziemi, ostatnią cząstkę ducha mesjanicznego, bez której ziemia stałaby się szlachtuzem. „Oto człowiek!” — woła bezdźwięcznie manekin Piłata. „Oto człowiek!”

I widzimy powszechną zawiść, łaszącą się do powszechnej chciwości, zanim jej skoczy do gardła z nożem czy ręcznym granatem.

Akt drugi. Miłosierdzie na krzyżu. Tłum opętańców szaleje i wyje. Judasz przestał pełzać: triumfuje. Najwymowniejsza to postać w misterium: od plugawych skomleń i robaczywych pełzań aż do zwycięskiego ryku na mogile Miłosierdzia — wszystko w niej drga życiem. Można powiedzieć, że Rostkowski ukochał Judasza jakąś przedziwną antytezą miłości.

Miłosierdzie umiera na krzyżu. Z jego zgonem tłum sam siebie skazuje na Golgotę, aby wreszcie w akcie trzecim wyżebrać skrucłą przebaczenie od Zmartwychwstałego — Miłosierdzia...

Prostota idei przewodniej czyni z Miłosierdzia misterium pasyjne, zrozumiałe dla najszerszych warstw. Jest tu logicznie wy-

kazana potrzeba niebios dla istnienia — ziemi, aby nie stawała się co chwila rzeźnią i szpitalem wariatów. Jest tu również nauka o utylitarnych korzyściach mistycyzmu: należy łąknąć posiłku duchowego, bo inaczej chleb ziemski nie przejdzie ludziom przez gardło.

Syntetyczne postacie i syntetyczne sytuacje „Strasznych dzieci“ (r. 1922) zawierać mają również skrócony obraz dziejów ludzkości w jasełkach poetyckich. Miniaturowe charaktery budują tu lilipucie społeczeństwo, dają upust karlim namiętnościom i folgę olbrzymiej głupocie. Wskutek tego mrą, zaplątane w pajęczę sieci najidiotyczniejszych pod słońcem zbrodni. Następnie zmartwychwstają w takich zaświatach, jakie wyroić zdołała ich dziecinna i zdziecinniała zarazem wyobraźnia.

Wskutek przewagi tematów ogólnoludzkich przypisywano Rostworowskiemu — kosmopolityzm. Najnowszą swoją trylogią dramatyczną: „Niespodzianka“, „Przeprowadzka“, „U mety“ — rozproszył te przypuszczenia do cna.

Okazawszy się w tym cyklu równie świetnym mistrzem prozy, jak poprzednio wiersza, Rostworowski przerzucił się ze świata alegorii w szarą rzeczywistość, na dno naszej

ubożyzny chłopskiej i inteligenckiej, która przypomina czasami warunki życia w okopach podczas przewlekłej walki pozycyjnej o byt.

„Niespodziankę“ nazwał autor zdarzeniem prawdziwym, bo w tej sztuce prawda artystyczna jednoczy się z życiową wspólnym rodowodem. Już ekspozycja sztuki uderza prostotą. W strzępku rozmowy matki z córką, paru słowami, rzuconymi znad cerowanej koszuli lub znad garnka niekraszonych ziemniaków, kilkoma warknięciami ojca-pijaka lub urywanym skowytom rozpaczy syna — już inteligenta — Rostworowski postawił dzisiejszą chłopską chałupę pod grozą taką samą, jaka wchodziła do płóciennego dworu „Ojca zadżumionych“.

W zaduchu zgniłej kapusty i niepranych miesiącami łachmanów zbiedniały chłop chytrzelec, skory do kieliszka, przemienia się w jakiegoś Laokoona, podszytego karczemnym wycirusem. A żona jego, to Niobe-wyrobница, tym boleśniejsza, że własną ręką bezwiednie zabija dziecko swoje — dla swojego dziecka.

Z rozdzierającą wymową prawdy pokazuje Rostworowski, jak to w Polsce matki wyrobnice uganiają się ostatkiem sił za inteligencką przyszłością dzieci, organizując masowe przymieranie głodem reszty rodziny —

na zakup książek i porządnego ubrania dla syna... akademika.

Żmudny jest trud tworzenia „inteligenta z dyplomem“ w rodzie dziedzicznych analfabetów. Rostworowski pomieścił tu najprzenikliwsze swoje spostrzeżenia psychologiczne. Zbrodnia bezwiednego synobójstwa — dla dobra drugiego syna, nie zrodziła się w głowie matki, przedstawiającej najtęższą siłę roboczą tej rodziny. Pomysł zbrodni podsuwa jej do wykonania mąż, przywykły całe życie wyręczać się kobietą, która i dla niego — tego obiboka szynkownianego — więcej była matką niż żoną. Rozwija Rostworowski tragedię przez wszystkie stopnie napięcia, przez wszystkie stacje Kalwarii codziennej ludzi nieszczęśliwych.

Jako poetę dojrzałego duchem dobrze określa Rostworowskiego następujący wiersz „Do Brata“:

*Wśród największych ucisków myśleliśmy,
[bracie,
że powstanie jak Chrystus, w białej jak
[śnieg szacie,
i że waśnie i spory upadną na twarze,
jak upadły przed grobem postawione strażę,
i że każdy Ją pozna po łamaniu chleba,
i że ran Jej dotykać nie będzie potrzeba.*

*Atoli, choć jak Łazarz dźwignęła się z łoża,
obleczona w niezgodę od morza do morza,
nędzarka bez chorągwi i bez aureoli,
bijmy w dzwony, albowiem skrzepi się po-
[woli,
rozejrzy się po niebie, rozejrzy po ziemi
i wejdzie do serc naszych — drzwiami za-
[mknionemi.*

Widzimy tutaj, że dla Rostworowskiego, jak i dla Mickiewicza, Polska jest *Chrystusem narodów*, lecz nie Chrystusem królem, tylko wciąż jeszcze biczowanym i „frasobliwym“ Panem Jezusem ze wsi polskiej.

*

POST SCRIPTUM

Gdy odwiedziłem Rostworowskiego w r. 1925 w Krakowie, dokąd przyjechałem w związku z wystawianym tam właśnie „Don Juanem“, atakował z ogniem tego sewilskiego uwodziciela za to, że z winy Zorrilli za krótko był w czyścicu i za prędko został zbawiony, bo tylko *po jednej* pokutniczej nocy.

— Jak to? — odparłem Rostworowskiemu — chyba pan nie wie, że Don Juan Tenorio odsiedział w czyścicu okrągłe sześć lat i to niegdzie indziej, ale u nas w Warszawie.

Na dowód pokazałem mu głośną naówczas sensację warszawską, mianowicie poemat satyryczny Antoniego Langego pod tytułem:

„*Melancholia Don Juana, — Zorrillowskiego dramatu akt VIII, czyli historia mojego przekładu.*“

— Niech pan posłucha paru urywków — powiedziałem do Rostworowskiego — a przekona się pan, jak

pachnie przedpiekle stosunków teatralnych w Warszawie. Antoni Lange tak o tym opowiada w „Kurierze Porannym“ z 4. XII. 1924 roku:

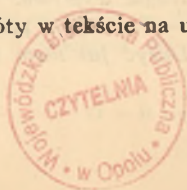
„Cóż się zrówna z mą historią,
Miły mój panie kolego?
Jam jest Don Juan Tenorio,
W tłumaczeniu A. Langego.
...A. Szifman ścisnął mi dłonie
I trzyma w swoim żelazie,
Jak to mię tam, w Panteonie,
Trzymaleś ty, Gonzalezie...
Patrzcie! Mija rok za rokiem,
A ja w ukryciu głębokiem
Szifmanowskiej bibliotecznej
Szafy — śpię osnuty mrokiem...
Nęcą mnie sceniczne deski,
Lecz mię ukrył teatr Polski,
Aż raz przyzywa mię Solski,
Przyzywa mię Miłaszewski:
— „Pójdź, o pójdź — na naszą scenę!
Teatr miejski ma tę wenę,
Aby zagrać Don Juana,
Lecz się wyzwól od Szifmana!“
— Ja do niego: — „Błagam ciebie,
Komandorze — błagam jeszcze —
Puść mię, przemoc twa mię grzebie!“
Lecz on uchwycił mię w kleszcze:
— „Nigdy z rąk cię nie wypuszczę,
Jesteś mój na wieczne czasy —
Komandorów innych tłuszcze
Przepędzę za głuche lasy“...
Lecz Solski z nowym konceptem
Nagle wypływa: — „Mój Stachu,
— Tajemnym powiada szeptem, —
Dosyć już mam tego krachu!“

Nie odbierzem Don Juana,
Ale zrób nam przekład nowy,
Wolny od władzy Szifmana,
Czeka — Teatr Narodowy!“
Milaszewski się uwinął —
Grackie zrobił tłumaczenie:
Lange zaś z kretesem zginął,
Gdy Stach się przeżył ku scenie.
Szifmanie, lice twe blade,
Grom w ciebie trzasł niespodzianie:
— A więc dali sobie radę!
Ha, tu l'as voulu, Szifmanie!“
— „Nie pozwolę, nie pozwolę,
Ja wystawię sztuk ten samy!
Leszczyński umie tę rolę,
Otworzę swoje Sezamy!“
— Woła mnie: — „Sześć lat czekałem,
Wtem porwali mi cię oni,
W trzy dni stań w rynsztunku całym!“*)
— Jak dorożkarza mnie goni.
Więc naraz dwa Don Juany?!
Toż wy mię znacie, żem dumny,
Raził mnie zapach tej zmiany —
Wolę już ciszę mej trumny!...

Oto wierny po kronikarsku i żadnym „faktomontażem“ nie przekształcony przebieg historii „Don Juana“ w Warszawie.

Rostworowski śmiał się do upadłego z tej rymowanej kroniki, lecz głębiej, niż ktokolwiek inny, współczuł niedoli kolegi, zniesionej z fantazją i dumą prawdziwego poety.

*) To znaczy: zrób skróty w tekście na użytek teatru (przyp. S. M.).



SPIS TREŚCI:

PAMIĘTNIK POETYCKI	...	...	...	...	1
WSPOMNIENIE O ZMARŁYM POECIE.					
Wiktor Dąbrowski	...	...	...	...	37
KILKA SPOTKAŃ Z ŻEROMSKIM.	W ka-				
wiarni — Na ulicy i w domu — W tea-					
trze — W Konstancinie — Poza czasem —					
Od Bożyszcza do Smętka	...	...	...	...	49
REYMONT I DUCHY	...	...	...	...	105
REDAKCJA Z PRAWDZIWEGO ZDA-					
RZENIA. Zdzisław Dębicki	...	...	...	...	125
AKTOR Z SERCEM I HUMOREM.	Mie-				
czysław Frenkiel	...	...	...	...	139
JASŃIE PAN AUTOR.	Józef Weyssen-				
hoff	...	...	...	...	153
OSTATNI RZYMIANIN W POLSCE.	Ka-				
rol Hubert Rostworowski	...	...	...	...	177

Waggoner

$\frac{1}{11}$ 300 —

057080

270883

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 329615



000-329615-00-0

KJW